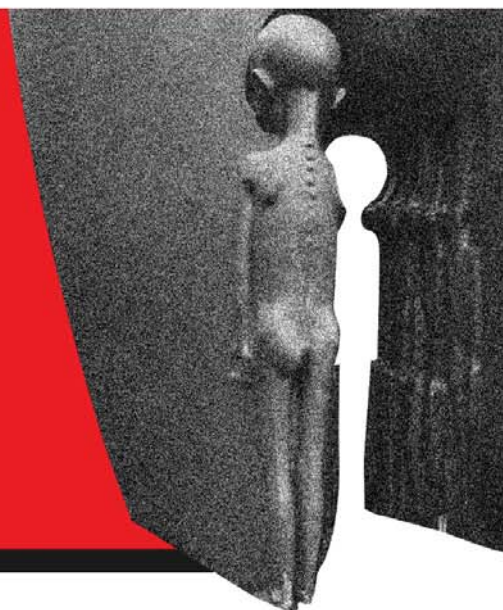


WOJENNE DZIECIŃSTWO

Martyrologa dzieci polskich pod okupacją niemiecką



WSTRZĄSAJĄCA OPOWIEŚĆ O GEHENNIE MŁODYCH POLAKÓW

DR KAROL NAWROCKI
PREZES INSTYTUTU PAMIĘCI
NARODOWEJ

Oddajemy w Państwa ręce dodatek historyczny opisujący losy polskich dzieci pod okupacją niemiecką w latach drugiej wojny światowej. Punktem wyjścia i tematem wiodącym jest dla nas 80. rocznica powstania w okupowanej Łodzi niemieckiego obozu dla polskich dzieci. Przeszedł on do historii pod nazwą „Obóz przy ulicy Przemysłowej”. Jego ponaddwuletnia historia to wstrząsająca opowieść o gehennie najmłodszych Polaków. Szalony i okrutny pomysł, by za kolczastymi drutami umieścić bezbronne dzieci.

U podstaw organizacji obozu leżało rasistowskie założenie o wyższości niemieckiej rasy i rzekoma konieczność odizolowania polskich dzieci przebywających w różnego typu placówkach opiekuńczych od niemieckich rówieśników. W obozie znaleźli się więc w pierwszej kolejności podopieczni zakładów poprawczych i sierocińców. Szybko jednak okazało się, że wojenna rzeczywistość wymusza nowe rozwiązania. Do obozu zaczęły trafiać dzieci, których wojna pozbawiła rodziców – np. aresztowanych bądź wywiezionych na roboty do Niemiec. Z czasem skierowanie do obozu stało się jednym ze sposobów represji – np. zaczęto umieszczać w nim potomstwo osób, które odmówiły podpisania volkslisty. Na Przemysłową można było także trafić za drobne wykroczenia – przy czym za takie uznawano jazdę bez biletu bądź „nielegalne” w pojęciu Niemców, próby zdobycia jedzenia. Wszystko to odbywało się na zasadzie administracyjnej decyzji, po-

**OFIARAMI BYŁY NIE TYLKO
DZIECI PODDANE EKSTERMINACJI I WYCIĘCZAJĄCEJ
PRACY, WYSIEDLANE,
ALE TAKŻE CI MAŁOLETNI
POLACY, KTÓRYCH
UMIESZCZONO
W NIEMIECKICH RODZINACH
Z ZAMIAREM GERMANIZACJI.**

dejmowanej najczęściej przez niemiecką policję – bez jakiejkolwiek możliwości odwołania, bez wyroku, na nieokreślony czas. W obozie dzieci znalazły się pod stałym nadzorem sadystycznych strażników i „wychowawców”. Upodabniało to bardzo ośrodek przy ul. Przemysłowej do niemieckich obozów koncentracyjnych.

Obóz istniał od początku grudnia 1942 r. do chwili wkroczenia do Łodzi Sowieci – 19 stycznia 1945 r. Z głodu, wycieńczenia i na skutek znęcania się przez nadzorców zmarło w nim blisko 200 polskich dzieci. Ich tragiczne losy wywołują coraz większe zainteresowanie nie tylko historyków, ale także publicystów i dziennikarzy.

Historycy z Instytutu Pamięci Narodowej porządkują wiedzę na temat obozu. Niestety, ustalenia te często były przemilczane, a do świadomości społecznej docierał najbardziej przejawiony i nie zawsze prawdziwy przekaz zawarty w popularnych, emocjonalnych publikacjach.



Dr Karol Nawrocki, Prezes Instytutu Pamięci Narodowej

Dużą satysfakcją jest dla nas fakt, że przed miesiącem ukazała się naukowa monografia obozu wydana przez łódzki oddział IPN, a dzisiaj oddajemy do rąk czytelników dodatek prasowy poświęcony w znacznej mierze temu miejscu.

Z kolei dzięki staraniom prof. Piotra Glińskiego, wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego, w 2021 roku powstało w Łodzi Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmu, którego zasadniczym celem jest kultywowanie pamięci o naj-

młodszych ofiarach niemieckich zbrodni.

Wojenne cierpienia dotyczyły w oczywisty sposób dzieci na wszystkich okupowanych terenach Rzeczypospolitej. Dlatego chcemy przybliżyć także inne tragiczne i okrutne karty historii, której głównymi ofiarami były dzieci i młodzież. Opisuujemy losy małoletnich więźniów innych obozów i więzień. Są wśród nich także takie, których udziałem nie była eksterminacja. Część z polskich dzieci trafiała do niemieckich rodzin, by zostać poddana germanizacji. Losu wielu z tych dzieci nie udało się wyjaśnić, nigdy nie wróciły do swoich rodziców. W Łodzi utworzono nawet obóz, w którym dokonywano selekcji najmłodszych Polaków w tym celu. Dziś opisujemy jego historię, w jednym z opublikowanych artykułów.

Osobnym, a zarazem najbardziej tragicznym z poruszanych tematów, są losy Dzieci Zamojszczyzny – ofiar masowych wysiedleń rozpoczętych przez Niemców w końcu listopada 1942 r. Ze 110 tys. wygnanych wówczas z Zamojszczyzny Polaków około 30 tys. stanowiły dzieci. Jedna trzecia z nich nie przeżyła koszmarnych warunków transportu i okrucieństwa strażników.

Warto zwrócić uwagę na pewien epizod. Gdy 3 lutego 1943 r. transport wycieńczonych dzieci dotarł do miejsca przeznaczenia w Siedlcach, mieszkańcy miasta, pomimo oczywistego strachu przed niemieckim terrorem, urządzili na znak protestu demonstracyjny pogrzeb ofiarom transportu. Pokazuje to ogromną wrażliwość na cierpienie tych najmłodszych i bezbronnych ofiar wojny, których losy dziś przypominamy.

HISTORIA DZIECI Z OBOZU PRZY UL. PRZEMYSŁOWEJ W ŁODZI NIE ZOSTAŁA ZAPOMNIANA

Wśród instytucji od wielu lat poszerzających naszą wiedzę na ten temat, jest również Instytut Pamięci Narodowej – mówi dr hab. Dariusz Rogut, prof. Akademii Sztuki Wojennej i dyrektor Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Oddział w Łodzi

Zanim powstało Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmu, IPN zdażył już – w 2017 r. – opracować cyfrową mapę obozu i zrekonstruował jego obiekty oraz przeanalizował materiały archiwalne z procesu obozowej nadzorczyńi – Eugenii Pol.

W 2002 r., czyli w 60. rocznicę przybycia do obozu pierwszego transportu polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi, IPN otworzył wystawę „Wojenne dzieciństwo. Losy dzieci polskich pod okupacją hitlerowską”. Miejscem ekspozycji było Centralne Muzeum Włókniarstwa w Łodzi. Odnieśliśmy się również do losów więźniów z Przemysłowej, poruszyliśmy temat germanizacji oraz zbrodni niemieckich na Zamojszczyźnie i ludobójstwa w niemieckim nazistowskim obozie koncentracyjnym i zagłady Auschwitz-Birkenau.

Istotna jest również dydaktyczna rola IPN w zajęciach dla uczniów i szkoleniach dla nauczycieli, gdybyśmy nie podjęli tych działań, to wciąż opieralibyśmy swą wiedzę na monografii funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Józefa Witkowskiego „Hitlerowski obóz koncentracyjny dla małoletnich w Łodzi” z 1975 r. i powtarzali komunistyczne „ustalenia”, że było to miejsce kaźni dla 12-15 tys. dzieci, z których przeżyło jedynie ok. 900. Przypomnę, że więcej szczegółów na temat niechlubnej działalności Witkowskiego podał już pracownik IPN – Artur Ossowski – w 2015 r. podczas konferencji „Łódź w Kraju Warty. Nowe perspektywy badawcze”. Dokonał również oceny politycznych aspektów procesu byłej nadzorczyńi obozowej Eugenii Pol vel Genowefy Pohl i ukazał propagandowy aspekt działań komunistycznego państwa w zakresie upamiętnienia

obozu i popularyzacji wiedzy w tym zakresie. Nie był to „obóz zapomniany”, albowiem w PRL powstał o nim film dokumentalny i fabularny.

Również inni pracownicy IPN na łamach czasopism naukowych i w publikacjach zbiorowych opisywali funkcjonowanie obozu i gehennę polskich dzieci.

Bez materiałów IPN nie można dokonać w ogóle oceny działalności obozu i opisać tragedii polskich dzieci. Pamiętamy, że rolę IPN jest m.in. krzewienie wiedzy na temat najnowszej historii Polski oraz wspieranie wszelkich podmiotów, w zakresie owych działań. Dlatego popieraliśmy powstanie Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmu. W tej sprawie 21 maja 2021 r. w Warszawie został podpisany List intencyjny o współpracy na rzecz powstania Muzeum przez Wiceprezesa Rady Ministrów, Ministra kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotra Glińskiego, Rzecznika Praw Dziecka Mikołaja Pawlaka oraz Instytut Pamięci Narodowej – Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, który miałem zaszczyt reprezentować. Z kolei 31 maja 2021 r. w siedzibie łódzkiego Oddziału IPN odbyła się konferencja dotycząca utworzenia nowej instytucji kultury. Wzięli w niej udział m.in.: prof. Piotr Gliński – wiceprezes Rady Ministrów, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu, dr Jarosław Szarek – ówczesny prezes Instytutu Pamięci Narodowej i Karol Młynarczyk – I wicewojewoda łódzki.

W 2022 r. podjęliśmy współpracę również z Narodowym Bankiem Polskim i efektem naszych działań była srebrna dziesięciolotowa moneta „Niemiecki obóz dla polskich dzieci w Łodzi”.



Dariusz Rogut jest dyrektorem Oddziału IPN w Łodzi od 2017 r.

Monetę kolekcjonerską wydano w nakładzie 9 tys. sztuk i uroczystie zaprezentowano 8 grudnia 2022 r. w siedzibie łódzkiego NBP. Byliśmy także inicjatorem wydania przez Poczta Polską znaczka poświęconego pamięci więźniów obozu przy ul. Przemysłowej. W obu przypadkach konsultantem prawnym był Artur Ossowski – naczelnik OBEN IPN.

Wszystkie przedstawione przez Pana dyrektora działania wpisują się w 80. rocznicę pierwszego transportu do tegoż obozu i są zauważalne, tak jak plenerowa wystawa IPN „Dzieci z Przesyłowej – niemiecki obóz w Łodzi (1942-1945)” oraz prezentowany

na internetowych stronach IPN i na Facebooku film „Obóz na Przemysłowej – Poznaj nasz strach!”. Czy IPN przedsięwziął jeszcze inne działania, aby upamiętnić ofiary obozu i przedstawić jego funkcjonowanie?

Tak, ale dodam, że film przygotowany został w sześciu językach obcych. Dzięki temu dotarł do szerokiego kręgu ludzi na całym świecie i miał ponad 300 tysięcy odsłon. Wywołał olbrzymie poruszenie i odzew nie tylko wśród Polonii. Współpracowaliśmy też z raperem Basti przy produkcji teledysku „Było takie miejsce”, który dotarł do ponad 600 tys. osób w kraju i za granicą.

Wracając do pytania, 6 grudnia 2022 r. w Dzierżąnej zaprezentowaliśmy książkę „Dzieci z zielonego autobusu. Z zeznań o niemieckim obozie dla polskich dzieci przy ul.

Przemysłowej w Łodzi (1942-1945)”, a jej autor – Artur Ossowski szczegółowo omówił jej zawartość. Powiedział o wykorzystanych materiałach archiwalnych i scharakteryzował kadre nadzorczą obozu. Pragnę podkreślić, że niniejsza publikacja opiera się nie tylko na naszych dokumentach, ale również z zasobów Centralnego Archiwum Federalnego w Koblencji. Wykorzystano nawet niepublikowane wcześniej nagrania z procesu przeciwko Eugenii Pol oraz fragmenty oryginalnych listów dzieci z obozu. Zgadza się również – z obecnym na prezentacji książki – zastępcą Prezesa IPN, dr. hab. Karolem Polejowskim, który jako doświadczony naukowiec i muzealnik podkreślił, że niemiecki obóz przy ul. Przemysłowej w Łodzi staje się jednym z symboli martyrologii polskich dzieci pod okupacją niemiecką podczas II wojny światowej.

Ile właściwie dzieci zginęło w obozie i z jakich przyczyn? Zaraz po wojnie wymieniano liczbę kilkunastu tysięcy, dziś mówi się o około stu dzieciach. Skąd tak wielka rozbieżność?

Tak jak już zaznaczyłem, owe dane zostały upublicznione przez byłego więźnia obozu oraz funkcjonariusza aparatu bezpieczeństwa – Józefa Witkowskiego, to on podał w swojej monografii bardzo zawyżone dane o liczbie 12-15 tys. dzieci, które przeszły przez obóz. W 1974 r., sąd podał szacunkową liczbę tych dzieci – nie więcej niż 4 tys., co było zgodne z wnioskami Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Dziś analizując zeznania i relacje obozowe oraz stany więźniów ową liczbę zmniejszamy do 2-3 tys. dzieci i to samo dotyczy osób zmarłych w obozie. Dlatego nie możemy mówić o tysiącach zamordowanych w nim dzieci. Bazując na listach cmentarnych jesteśmy w stanie wskazać z imienia i nazwiska jedynie ok. 80 z nich. Wynika to także z niepełnej dokumenta-

cji. Prawdopodobnie zmarło ogółem około 200-300 dzieci. Ich zwłoki Niemcy pochowali na rzymskokatolickim cmentarzu przy ul. Kurczaki 81 w Łodzi. Dziś ich miejsca pochówku zostały zatarte, ponieważ pojawiły się nowe kwatery i kolejne groby. Bez udziału archeologów oraz badań laboratoryjnych DNA nie zidentyfikujemy ich szczątków. Nad ich rozpoznaniem pracuje m.in. zespół dr. Krzysztofa Latochy, który z sukcesem wytypował, chociażby szczątki ofiar zbrodni stalinowskich na jednym z cmentarzy łódzkich na Dołach.

Badania nad obozem dla dzieci w Łodzi od kilku lat prowadzi łódzki IPN. Na ile te badania pozwoliły na zweryfikowanie wcześniejszych ustaleń, czego nowego udało się dowiedzieć?

Naszym zadaniem było spopularyzowanie tematu, przedstawienie faktów i obecnego stanu badań na temat obozu. Opisał sposób funkcjonowania obozu, scharakteryzowaliśmy jego podległość oraz przeanalizowaliśmy materiały odnośnie obozowej kadry, współpracy z innymi obozami, chociażby z obozem w Potulicach oraz w Konstancynie Łódzkiej, jak też rzuciliśmy więcej światła na wątek powojennych procesów, a zwłaszcza na sposób osądzenia jednej z obozowych zbrodniarek – Eugenii Pol. Pokazaliśmy, że aby zrozumieć historię obozu przy ul. Przemysłowej musimy się odnieść do materiałów nie tylko wytworzonych przez okupanta niemieckiego, ale również do dokumentów powstałych w czasach komunistycznych i nie są to łatwe, ani jednoznaczne odpowiedzi. Badania odnośnie obozu przy ul. Przemysłowej w jakimś zakresie będą kontynuowane, ale będziemy też poszerzać wiedzę na temat innych obozów niemieckich w Łodzi oraz losów polskich dzieci w okresie II wojny światowej.

DODATEK SPECJALNY

Przygotowany we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi
Redaktor odpowiedzialny: Sławomir Sowa

Dyrektor artystyczny: Tomasz Bocheński
Wydawca: Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
Druk: Drukarnie PPG, ZPR

MALI WIĘŹNIOWIE NIEMIECKIEGO OBOZU W ŁODZI

W grudniu 1942 roku Niemcy utworzyli w Łodzi obóz dla polskich dzieci. Jak to ujęli okupanci, miał pełnić „rolę ochronną” oraz „zabezpieczyć” niemieckie dzieci i młodzież przed demoralizującym je postępowaniem nieletnich Polaków. W rzeczywistości było to kolejne ogniwo w niemieckim łańcuchu terroru na ziemiach polskich.

ARTUR OSSOWSKI
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Wszystkie zimy II wojny światowej były bardzo mroźne i śnieżne, tak jak w styczniu 1945 r., kiedy to po drogach centralnej Polski sunęły masy sowieckich czołgów, spychając siły niemieckie na Zachód. W rękach Armii Czerwonej były już zgłiszcząca powoSTAńczej Warszawy. 18 stycznia, gdy sowieckie czołwki pancerne podchodziły pod Łódź, Niemcy praktycznie nie stawiali oporu, jedynie na przedmieściach dochodziło do starć. We wschodniej części Łodzi już rozwiewały się dymy spalonego w nocy więzienia o zaostrozonym rygorze na Radogoszczu. Od kul, granatów i płomieni, które wznicił niemieccy policjanci i żołnierze, zginęło ok. 1,5 tys. osadzonych, ocalało jedynie 30 z nich. W wyludnionym getcie ukrywało się jeszcze ok. 800 Żydów z tzw. komanda roboczego, którzy nie stawili się na apel i uniknęli śmierci, albowiem Niemcy przygotowali już dla nich doły na cmentarzu żydowskim. Czy podobnie chcieli wymordować dzieci zamknięte w obozie przy ul. Przemysłowej w Łodzi?

Dlaczego powstał obóz?

Według relacji byłych więźniów strażnicy pozamykali ich w budynkach i barakach, nie dostarczając im przez ostatnią dobę pokarmu, ani picia. Pod niektóre obozowe obiekty przetoczyli nawet beczki z benzyną lub naftą, jednak zabrakło im czasu na zamordowanie ok. 900 uwięzionych wówczas w obozie dzieci. Ocalały i uniknęły tragicznego losu dorośli, albowiem 19 stycznia 1945 r. byli już wolni. Niektóre z nich wyszły na opustoszałe ulice Łodzi, inne nie otrzymawszy pomocy dorosłych, ruszyły do swych domów. Niedożywione, ubrane w łachmany i nieznające właściwego kierunku marszu, niekiedy przepadły bez wieści. Więcej szczęścia miały dzieci, które pozostały w obozie i czekały kilka dni na pomoc. Wygodnie spały w magazynie żywnościowym, a więzienne izby ogrzewały, paląc w piecach deskami wyrwanymi z pryz i obozową dokumentacją.

Dlaczego jednak Niemcy stworzyli obóz dla polskich



Wizytacja obozu przez szefa niemieckiej policji kryminalnej w Łodzi – Camilla Ehrlicha

dzieci i kiedy podjęli stosowne działania, aby z więzień oraz obozów koncentracyjnych wyłączyć najmłodszych obywateli państwa polskiego? Decyzje w tej sprawie Niemcy podjęli już w 1941 r. i wzorowali się na działającym od 1940 r. obozie dla chłopców i młodych mężczyzn w dolnosaksońskim Moringen. Tak samo miało być w Łodzi, a właściwie w Litzmannstadt, gdyż tak okupant niemiecki nazwał największy ośrodek miejski Kraju Warty. Uznano, że odpowiednim miejscem pod obóz będzie pięciohektarowy teren wyłączonej z getta, które zarządzane z trzech stron otaczała wydzielona przestrzeń. Obóz wytyczono w kwartale obecnych ulic: Bracka, Emilii Plater, Górnicza i Sporna. Główną bramę umieszczono na osi ul. Przemysłowej w pobliżu budynku komendantury.

Pierwsi więźniowie

Obóz podlegał niemieckiej policji kryminalnej i został przygotowany dla ok. 2 tys. chłopców w wieku od 8 do 16 lat. Do dostosowania jego infrastruktury przymuszono Żydów z pobliskiego getta. Przeprowadzili oni

prace remontowe w niektórych budynkach, a pozostałe wyburzyli, aby wolną przestrzeń za budować barakami. Obóz z trzech stron otoczono drewnianym płotem, zaś od obecnej ul. Spornej i ul. Zagajnikowej przeszkodą był ceglany mur cmentarza żydowskiego. Pierwszych więźniów do Łodzi dostarczono już w listopadzie 1942 r. i byli to prawdopodobnie chłopcy z wielkopolskiego obozu pracy w Kietrze.

Oficjalnie obóz przy ul. Przemysłowej rozpoczął działalność 1 grudnia 1942 r., zaś pierwsze transporty nowo przywiezionych więźniów zaczęto rejestrować dopiero dzień po jego otwarciu. Okazało się jednak, że wśród przyjętych więźniów są również dziewczęta. Dlatego w kwietniu 1943 r. przeorganizowano obóz i wytyczono w nim strefę dla dziewcząt oraz małych dzieci do ósmego roku życia. Nie była ona duża, ponieważ więźniarek nigdy nie było więcej aniżeli więźniów, a ich liczba wahała się pomiędzy 150 a 350 osadzonych. Chłopców w obozie było natomiast trzy, a nawet cztery razy więcej niż dziewcząt. W lipcu 1944 r. zarejestro-

wano największą liczbę osadzonych i było ich wówczas ok. 1600. W kolejnych miesiącach liczba więźniów znacząco się zmniejszała, albowiem ok. 200 z nich zwolniono z obozu i skierowano do łódzkich przedsiębiorstw. Kilku dziesięć dzieci uzyskało również wolność za sprawą rodziców, gdyż ci podpisali volkslistę. Z obozu wywieziono także szesnastolatki i szesnastolatki, wysyłając transporty do obozów koncentracyjnych lub obozów pracy.

Ogniwo w łańcuchu terroru

Kim były jednak ofiary niemieckiego obozu przy ul. Przemysłowej w Łodzi? Na pewno nie byli to żadni kryminaliści, choć niektóre z dzieci dopuściły się kradzieży żywności, węgla lub pobiły się z niemieckimi rówieśnikami. Nie były to także dzieci „polskich bandytów”, choć tak opisywano to w obozowych dokumentach, zaprzeczając okolicznościom i faktom. W ogóle nie dociekano przyczyn pauperyzacji polskiego społeczeństwa, na którą wpłynęła niemiecka okupacja poprzez rozporządzenia wymierzone w życie i mie-

nie Polaków oraz Żydów. Usprawiedliwiano nawet wszelkie działania zmierzające do utworzenia tego typu obozu. W okolicznościach na temat jego powstania informowano okupacyjną administrację Kraju Warty, że będzie on pełnił wyłącznie „rolę ochronną” oraz „zabezpieczy” niemieckie dzieci i młodzież przed demoralizującym je postępowaniem nieletnich Polaków. Czyli miało to być kolejne ogniwo w łańcuchu terroru, którym skutecznie opasano tereny podbite przez III Rzeszę. Żadnego słowa o przepełnionych więzieniach i obozach koncentracyjnych, do których zesłano już rodziców i krewnych zatrzymanych dzieci. Najlepszym tego przykładem jest pacyfikacja podpoznańskiej miejscowości Mościna. Dla niemieckich funkcjonariuszy była to rozprawa z „bandytami”, a nie konspiratorami walczącymi w szeregach Armii Krajowej. Dlatego zastosowano tak brutalne metody wobec ludności cywilnej i mszczono się na dorosłych oraz dzieciach, za straty zadane przez polski ruch oporu. We wrześniu 1943 r. kilkadziesiąt mosińskich dzieci przewie-

ziono do łódzkiego obozu, zaś ich bliskich zamordowano w Forcie VII w Poznaniu lub zesłano do Auschwitz-Birkenau i Ravensbrück.

Wychowawczy tylko z nazwy

Większość uwięzionych w obozie dzieci przywieziono z Wielkopolski, Kujaw, Pomorza Gdańskiego, Górnego Śląska i ziemi łódzkiej. Dodatkowo kilka transportów przybyło z Mazowsza, Małopolski i Lubelszczyzny, co potwierdza, że nie tylko miały w nim znaleźć się dzieci polskie z terenów włączonych w granice państwa niemieckiego, ale również nieletni Polacy z Generalnego Gubernatorstwa. Akcja okupantów objęła nawet młodocianych chłopców z Opolszczyzny, którzy wcześniej zostali umieszczeni w poprawczakach oraz obozach pracy i mając polskie pochodzenie zostali przekazani do Łodzi.

Nowo powstałemu obozowi nadano nazwę Polenjugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt, zaznaczając jego narodowościowy charakter i podkreślając wiek więźniów. **Dokończenie na str. 4-5**

Dokończenie ze str. 3

Strona polska natomiast, opisując po wojnie to miejsce kaźni, akcentowała przede wszystkim jego cel, wiek osadzonych i charakter podległości, stosując nazwę: Prewencyjny Obóz Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej w Łodzi. Pamiętajmy jednak, że obóz nie pełnił żadnej funkcji wychowawczej, nie był także ośrodkiem prewencyjnym, ani miejscem ochronnym. Nie można go również nazwać obozem pracy, ponieważ nie wszystkie dzieci w nim pracowały, a te z nich, które przeszły pomyślnie badania rasowe i nie ukończyły ósmego roku życia germanizowano.

Obóz miał być samowystarczalny, zwłaszcza jeżeli chodzi o żywność i ubrania dla osadzonych. Korzyści z pracy więźniów odnosił także lokalny przemysł oraz armia niemiecka. Brakowało jednak odpowiedniego wyposażenia technicznego, a dzieci nie miały umiejętności, ani siły, by sprostać narzuconym normom. Głód bardzo szybko je otepiał i osłabiał, choć dla obozowej kadry hodowano króliki i świnie, a nawet zadbano o warzywniak, aby Niemcom nie zabrakło witamin. Do opieki nad zwierzętami kierowano oczywiście więźniów, których przymuszano także do pracy w szklarni i ogrodzie. Najwięcej jednak płodów rolnych dostarczała - działająca od wiosny 1943 r. - filia obozu w Dzierżąnej nieopodal Zgierza. Do tego majątku zsyłano wyłącznie więźniarki, dla których była to szansa na lepsze wyżywienie i lżejszą pracę. Mniejsza liczba nadzorców w Dzierżąnej pozwalała na krótko zapomnieć dziewczynom o biciu i karcerze, choć i poza macierzystym obozem wymierzano chłostę, zwłaszcza więźniarkom próbującym uciec z majątku i przekroczyć granicę z Generalnym Gubernatorstwem.

Najbardziej jednak na przemoc narażeni byli chłopcy, ponieważ stanowili oni nawet 75 proc. ogółu osadzonych w obozie przy ul. Przemysłowej i nie mieli tej szansy, co dziewczęta pracujące w Dzierżąnej. Kiedy już opuszczali strzeżoną strefę obozu, to wyłącznie po to, by rozładowywać wagony z węglem, ułożyć materiały budowlane na składach lub rozebrać budynki w rejonie sąsiadującym z gettem.

W obliczu epidemii tyfusu

Większość jednak osadzonych nigdy nie opuściła obozu, prostując igły dziewiarskie, cerując rozdarcia i przestrzeliny w mundurach, reperując plecaki, chlebaki, ładownice i pasy główne oraz żołnierskie buty. Dla niemieckich wartowników wyrabiano nawet łapcie ze słomy, wiążąc je w długie warokcze, by chronić stopy przed mrozem. Zbijano rów-



Elżbieta Konarska z Poznania trafiła do obozu przy ul. Przemysłowej w Łodzi w wieku 10 lat

niez skrzynki amunicyjne oraz wyplatano wiklinowe maty, by te można było podłożyć pod koła wojskowych pojazdów grzejących w błocie. Wszystkie czynności dzieci miały wykonywać szybko i dokładnie, pracując pod czujnym okiem majstrów żydowskich lub polskich. Do tego stałe należało uważać, by nie spowodować do bicia nadzorców i nadzorzyn, będących volksdeutscheami z terenów przedwojennej Polski, Związku Sowieckiego, Łotwy lub Jugosławii.

Najniżej w hierarchii byli żydowscy pracownicy, którzy

jako pierwsi rozbudowywali obozową infrastrukturę. Po nich przyszli do obozu majstrowie z getta, wcześniej zatrudnieni w tamtejszych warsztatach. Przyuczali oni dzieci w szwalni, rymarni, stolarni oraz w zakładach szewskich do pracy w systemie nakładczym i do oszczędności materiału. W relacjach byłych więźniów niekiedy pojawiają się zniekształcone ich nazwiska. Za pracę otrzymywali wyżywienie, które było lepsze aniżeli to w getcie. Dlatego chcieli utrzymać swoje stanowiska pracy i nie trafić do transportu z tymi, których Niemcy zsyłali do ośrodka zagłady



Gertruda Weinhold trafiła do obozu w wieku 14 lat. Zmarła 1 sierpnia 1944 r.

w Chełmnie nad Nerem (niem. Kulmhof am Nehr).

Znaczenie pracowników z getta wzrosło wraz z wybuchem w obozie epidemii tyfusu. Zaraza bardzo szybko się rozprzestrzeniła, zakażając nie tylko więźniów, ale również i obozowy personel. Późną jesienią 1943 r. obóz odizolowano, poddając uwięzionych i nadzorców kwarantannie. Sytuacja zagrożenia epidemiologicznego utrzymywała się do wczesnej wiosny 1944 r. Do tego czasu wstrzymano transporty więźniów i skupiono się na organizacji pracy oraz dostosowywano kolejne

pustostany na potrzeby obozu. Niezbędna okazała się pralnia i łaźnia dla więźniów, ponieważ nie mogli oni już korzystać, co miesiąc, z sanitarnej infrastruktury miasta.

Kto się znęcał, a kto pomagał

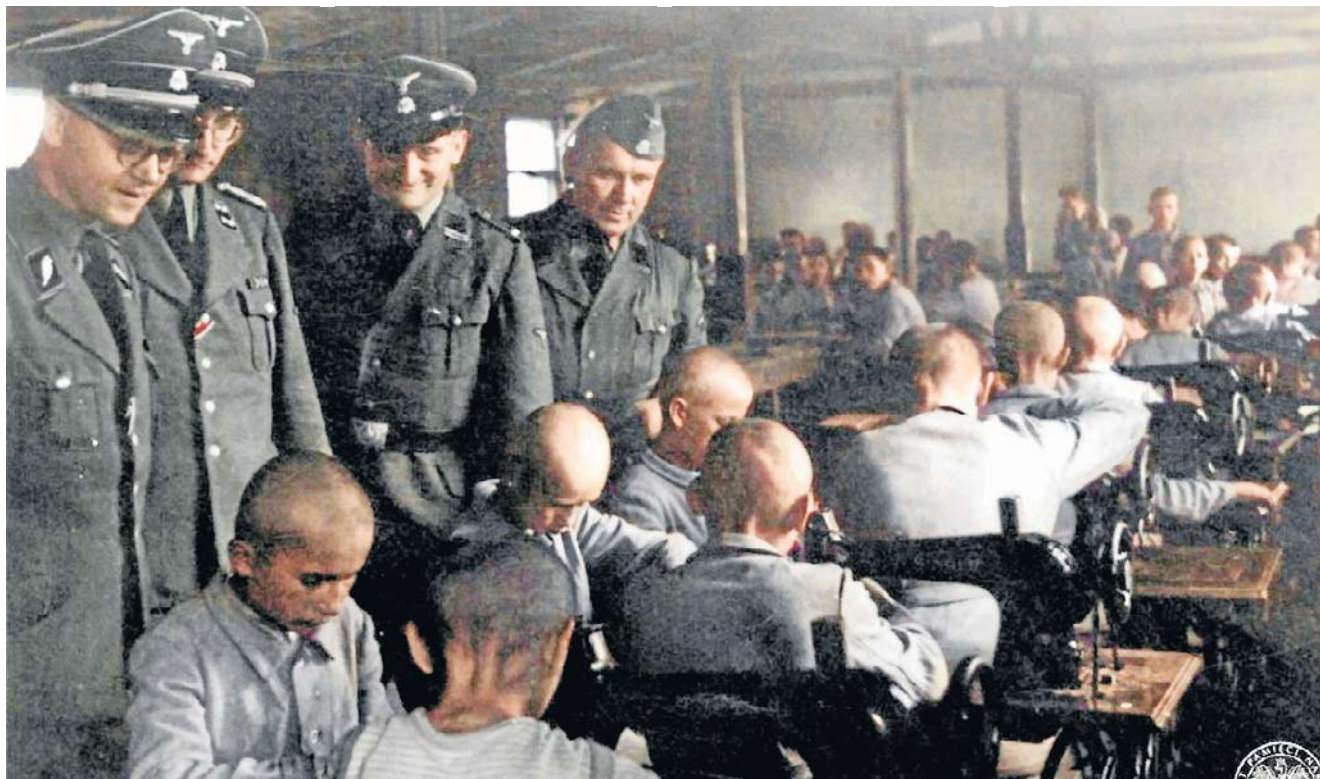
Największe jednak zasługi w przezwyciężeniu zarazy miał żydowski personel medyczny, który opiekował się ok. 300 chorymi dziećmi w prowizorycznym szpitalu na terenie getta. Według danych powojennych, zmarło nie więcej aniżeli 10 proc. zarażonych. Opiekujący się nimi lekarze podkreślali, że pacjenci byli brudni, za-

wszeni, ale przede wszystkim było widać na ich wymizerowanych ciałach skutki długotrwałego głodu i maltretowania.

Od wiosny 1944 r. próbowano zwiększyć produkcję na rzecz niemieckich sił zbrojnych, zaprzestając szycia obozowych uniformów na rzecz reparacji mundurów, wojskowego oporządzenia oraz obuwia. Otwarto nawet warsztat samochodowy i zakład naprawczy urządzeń elektrycznych, ale już w sierpniu 1944 r. owe plany zostały zarzucone, ponieważ Niemcy zlikwidowali łódzkie getto. Odtąd ciężar produkcji spoczął wyłącznie na polskich pracownikach, wśród których był już obozowy fotograf, fryzjer, buchalter, kilkoro kierowców i majstrów. Niebawem dołączyły do nich szwaczki oraz kucharki, które przyjęły obozową posadę, nie chcąc być wywiezionymi do pracy przymusowej w głąb Niemiec. We wspomnieniach więźniów nierzadko były to osoby apodyktyczne i brutalne, skore do donosów, ale wśród nich były też jednostki szlachetne, pomagające ofiarom. Dotyczy to zwłaszcza kucharek, szwaczek oraz personelu rolnego w Dzierżąnej. Żaden z Polaków po wojnie nie został pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Doszło nawet do kuriozalnej sytuacji, gdy kilkoro z nich złożyło zeznania i były one wykorzystywane na procesie przeciwko volksdeutsche i obozowej nadzorczyni - Eugenii Pol vel Pohl. Wprawdzie niektórzy z byłych więźniów informowali sąd, że osoby te były nie mniej dotkliwe co oskarżona i pozostali Niemcy, a jednak wypowiedzi byłych pracowników obozowych zostały uznane za wiarygodne. W korzystniejszym świetle można natomiast opisać zachowania obydwóch polskich lekarzy, którzy nie będąc zatrudnieni w obozie, kilka razy w miesiącu badali więźniów i wymusili na Niemcach dostarczenie podstawowych leków. W ten sposób doposażono obozowe ambulatorium i próbowano chronić przebywające w nim dzieci przed szykanami i karami ze strony nadzorców.

Nagroda za zabicie dziecka

Bardziej krytycznie należy jednak ocenić volksdeutsche, ponieważ oni pełnili kluczowe funkcje w systemie obozowego nadzoru. Najwięcej możemy powiedzieć o wspomnianej Pol, czy też jej przełożonej Sydonii (Izoldzie) Bajer vel Bayer oraz Edwardzie Auguście. Ostatnie z wymienionych dwóch osób, zostały w 1945 r. skazane przez Specjalny Sąd Karny w Łodzi na karę śmierci. Wyroki przez powieszenie wykonano w więzieniu przy ul. Sterlinga 16, lecz sprawa zabójstwa przez nich dzieci w obozie była jedynie jednym z zarzutów długiej listy przestępstw, których to dopu-



Niemieccy funkcjonariusze wizytują obozową szwalnię

ściła się dwójka oskarżonych, współpracując z okupantem niemieckim. Z pewnością łódzcy volksdeutsche znający język polski komunikowali się z więźniami i to im przypisano najbrutalniejsze zbrodnie w obozie. Mniej natomiast wiemy o kilkudziesięciu Ukraińcach, Rosjanach, Łotyszach i Bośniakach, którzy mając korzenie niemieckie zostali obozowymi strażnikami. Dla tych mężczyzn w wieku od 17 do 65 lat służba w obozie była niezmiernie ważna, albowiem chroniła ich przed wysłaniem na front. Ostatecznie ich rachuby w ogóle się nie sprawdziły. Po wpisaniu ich na volkslistę oraz zarejestrowaniu jako obozowych strażników i tak trafili w szeregi Wehrmachtu, SS lub Volkssturmu. W obozie pełnili dwunastogodzinną służbę, patrolując w nocy teren z psami i strzelając bez ostrzeżenia. Na pewno z ich ręki zginął jeden nastoletni więzień, którego karabinowa kula dosięgła, gdy próbował sforsować drewniane ogrodzenie. Ciało zamordowanego przyniesiono na plac apelowy, aby zwłoki mogli zobaczyć inni więźniowie. Strzelca i pozostałych strażników z patrolu uhonorowano skrzynką piwa i jednodzielnym urlopem, ponieważ tyle było warte życie polskiego dziecka. Dla tych ludzi służba w obozie nie była żadną traumą, gdyż tu obchodzili swoje imieniny i urodziny, a nawet odbyła się jedna z uroczystości weselnych. Druga miała miejsce w Dzierżąnej, gdy tamtejszy komendant Hans Fuge po raz drugi zawarł związek małżeński.

Gdzie jednak w tym obozowym świecie byli rodowici Niemcy? Przecież to oni stworzyli to miejsce. Nie było ich wielu, a jednak to niemieccy policjanci o wszystkim decydowali i podlegali komendantowi obozu. Był nim Camillo Ehrlich,

który do Łodzi oddelegowany został w 1941 r. z saksońskiego Colditz. Obóz opuścił w grudniu 1944 r. i po wojnie wpadł w ręce Sowietów. Ostatecznie wschodniemiecki wymiar sprawiedliwości uznał, że niemal 11 lat więzienia to wystarczająca kara i w 1956 r. pozwolił na jego wyjazd do Republiki Federalnej Niemiec. W Bawarii doceniono jego dydaktyczne umiejętności. Będąc autorem podręczników dla zachodniemieckiej policji, wiódł dostatnie życie, zaś jako agent Stasi rozpracowywał struktury bezpieczeństwa miejscowego landu. Nigdy nie odpowiedział za swoje zbrodnie w obozie przy ul. Przemysłowej w Łodzi, choć w 1973 r. nadano mu status oskarżonego. Czy obawiał się wyników śledztwa w Polsce i procesu przeciwko obozowej nadzorce Pol w Łodzi? Zapewne śledził informacje na ten temat w zachodniemieckiej prasie, ale wszelką wiedzę zachował dla siebie. Zmarł w czerwcu 1974 r. w domu starców w Monachium w wieku 81 lat. Czy przypominał sobie twarze zmarłych w obozie dzieci i ciała więźniów wywożonych na cmentarz rzymskokatolicki przy ul. Kurczaki 81 w Łodzi? Wiedział przecież o chłostach, gdy czter-

dzieści batów rozkładano skażącemu na dwie lub trzy raty i następnie wleczono nieprzytomne dziecko do karceru. To on podpisywał miesięczne raporty o stanach obozowych, gdzie przeszło 60 proc. więźniów w ogóle nie mogło pracować z powodu niewydolności układu oddechowego, nerek, zapalenia pęcherza, nieżyty żołądka, odmrożeń, czyraków oraz ran ciętych i tłuczonych. Nie interweniował, gdy volksdeutsche pastwili się nad osadzonymi lub czynili to starsi więźniowie przywiezieni z Opolszczyzny i pełniący w obozie funkcje trębacz, sztabowych lub kapo.

Ilu więźniów zginęło?

Dziś wiemy, że przez obóz nie przeszło od 12 do 15 tys. dzieci i nie przeżyło wojny jedynie 900 z nich. Śmiertelność uwięzionych była znacznie niższa i obecnie udokumentować możemy ok. 80 zgonów, na 2-3 tys. więźniów, którzy w latach 1942-1945 znaleźli się w tym obozie. Jednak nie w liczbach zasadza się tragedia polskich dzieci, ale w skutkach, które dla zdrowia fizycznego i psychicznego niósł pobyt w tymże obozie. Po wojnie przeżycia byłych więźniów położyły się cieniem na ich życiu zawodowym i rodzinnym. Nigdy też oprawcy niemieccy nie zrehabilitowali im finansowo cierpienie, bo czy można przywrócić ofiarom życie, a żywym oddać stracone lata?

Dziś ponownie przypominamy historię obozu, gdyż ma być on przestrogą dla przyszłych pokoleń. Wojna zawsze zabija człowieczeństwo, pozostawiając po sobie emocjonalne kaleki – ofiary i sprawców. Nigdy się też nie kończy, ponieważ ci co ją przeżyli zawsze ją noszą we swych wspomnieniach i cierpią, gdy ci co jej nie doświadczyli, nie mogą zrozumieć jak głęboko w więźniach tkwi trauma obozu.

TRAGICZNE LOSY KONSPIRATORKI NSZ I JEJ DZIECI

Kiedy Weronikę Lipińską więziono, jej syna i córkę Niemcy umieścili w obozie dla dzieci. Córką przeżyła wojnę, losów syna nie udało się do końca wyjaśnić.

PATRYCJA RESEL
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Weronika Lipińska urodziła się 1 stycznia 1907 r. Mieszkała z matką przy ul. Sebastiana Felsztyńskiego 31 w Łodzi. Przed wybuchem wojny pracowała jako prądką w Manufakturze Karolewskiej tzw. „Pieprzorce”. Wówczas należała także do Stronnictwa Narodowego w Łodzi. Tuż po rozpoczęciu okupacji niemieckiej związała się ze stolarzem Kazimierzem Czarneckim z Szadku (pow. zduńskowski). Z tego związku przyszła na świat dwójka dzieci. Ich córka Kazimiera urodziła się 11 marca 1942 r., a rok później 20 listopada syn Lechosław Kazimierz. Imiona dzieci zostały Lipińskiej i Czarneckiemu narzucone przez urzędników niemieckich, którzy zgodnie z rozporządzeniem namiestnika Rzeszy w tzw. Kraju Warty Arthura Greisera z 1 listopada 1941 r., mogli rejestrować tylko te polskie dzieci, którym rodzice nadali imiona znajdujące się na przygotowanym wykazie. Wykaz ten obejmował ponad 450 słowiańskich imion męskich i żeńskich, w większości historycznych, nie będących w powszechnym użyciu. Ponadto w celu naznaczenia Polaków w Kraju Warty wprowadzono nakaz nadawania dziecku jako drugie imię Kazimierz lub Kazimiera, jeśli nie nadano go jako pierwsze. Dla Lipińskiej i Czarneckiego rejestracja dzieci w urzędzie niemieckim była jedynie formalnością, gdyż na chrzcie świętym ich córka otrzymała imię Dominika, a syn imię Sylwian.

Konspiratorka i matka

Pomimo ryzyka, które niosła ze sobą działalność w organizacji konspiracyjnej, Lipińska łączyła wypełnianie obowiązków rodzicielskich z przynależnością do Okręgu Łódzkiego IX Narodowych Sił Zbrojnych. Konspiratorka przyjęła pseudonim „Brzóska”. W jej mieszkaniu przy ul. S. Felsztyńskiego (wówczas Artur-Meister-Straße) 49 odbywały się przysięgi żołnierzy NSZ. Do jej zadań należało ukrywanie zagrożonych aresztowaniem członków podziemia, a od 1943 r. pełniła także funkcję



Weronika Lipińska z pielęgniarkami (1945)

łączniczki ówczesnego komendanta łódzkiego okręgu NSZ Antoniego Czernika „Dziadka”.

W 1942 r. Lipińska poznała Henryka Laszkiewicza. Nieświadoma tego, że ma do czynienia ze współpracownikiem niemieckiej policji, zwierzyła się Laszkiewiczowi, że należy do NSZ. Wkrótce go rozszyfrowała i zerwała wszelkie kontakty. Po złożeniu meldunku przez Laszkiewicza została jednak aresztowana w kwietniu 1944 r. i osadzona w obozie pracy przymusowej na Sikawie. Wyszła na wolność 18 maja 1944 r., ale nie na długo.

Nocą, 5 września 1944 r. Gestapo wtargnęło do mieszkania Lipińskiej i ponownie aresztowało. Razem z nią został ujęty także Czarnecki. Konspiratorkę osadzono w więzieniu policyjnym dla kobiet przy ul. Gdańskiej 13. Od 2 lutego 1945 r. przebywała w podobozie obozu Ravensbrück w Neubrandenburg, gdzie była poddawana eksperymentom pseudomedycznym.

Poszukiwania dzieci

Po powrocie do Polski Lipińska rozpoczęła intensywne poszukiwania członków swojej najbliższej rodziny. Dowiedziała się, że jej partner Czarnecki został przetransportowany 10 listopada 1944 r. do niemieckiego obozu koncentracyjnego Mauthausen. Zginął 3 stycznia 1945 r.

Równie tragiczne okazały się losy dzieci Lipińskiej – Kazimiera i Lechosława, które po aresztowaniu rodziców czasowo przebywały w mieszkaniu

swoich sąsiadów. Z akt niemieckich wynika, iż ze względu na wiek i stan zdrowia dzieci zostały odebrane przez pielęgniarkę i przekazane do Städtischen Kinderheim, czyli miejskiego domu dziecka.

Przez lata Lipińska twierdziła, że jej córka i syn zostali osadzeni w niemieckim obozie dla polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi. Lechosław miał zostać w obozie otruty, co według Lipińskiej zostało stwierdzone przez Komisariat VI MO w Łodzi. Na dwuletniej Kazimierze miały być przeprowadzane eksperymenty pseudomedyczne, w wyniku których dziewczynka zachorowała na gruźlicę. Podczas kwerendy nie odnaleziono jednak dokumentów potwierdzających tę relację.

Zadośćuczynienie po latach

Po zakończeniu wojny Kazimiera przebywała w sierocińcu prowadzonym przez Ojców Bonifratrów, który mieścił się przy ul. Kosynierów Gdyńskich w Łodzi. W 1946 r. została odnaleziona przez Lipińską i odebrana z sierocińca.

Po wyjściu z niemieckiego obozu koncentracyjnego Lipińska była niezdolna do pracy zarobkowej i znajdowała się na rencie inwalidzkiej. Razem z córką żyła w trudnych warunkach materialnych. W 1947 r. wyjechała z Łodzi na Ziemię Odzyskaną i zamieszkała w Jezioranach (pow. olsztyński). Dwa lata później przeprowadziła wraz z córką się do Lidzbarka Warmińskiego.

Popięciu latom bezskutecznych starań Kazimierzy Czupiej o otrzymanie uprawnienia kombatanckich w tytulu przebywania w niemieckim obozie dla polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi, decyzją szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych z dnia 23 stycznia 2015 r. w końcu została uznana za ofiarę niemieckich represji z okresu II wojny światowej.

Weronika Lipińska zmarła 22 lipca 1979 r., a jej córka Kazimiera 10 marca 2015 r., zaledwie miesiąc od otrzymania uprawnień kombatanckich. Spoczywają we wspólnym grobie na cmentarzu komunalnym w Lidzbarku Warmińskim.



Chłopcy stanowili 75 procent dzieci osadzonych w obozie

ZBRODNI, KTÓRE NIE PODLEGAŁY DYSKUSJI. OPRAWCY POLSKICH DZIECI PRZED SĄDEM

Ważnym tematem dotyczącym historii dzieci z obozu przy ul. Przemysłowej w Łodzi jest sprawa powojennego osądzenia obozowych oprawców. Ramię sprawiedliwości dosięgło tylko troje z nich.

DR TOMASZ TOBOREK
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Procesy sądowe wytoczone bezpośrednio po wojnie – Edwardowi Augustowi i Sydonii Bajer – dwóm najbardziej okrutnym przedstawicielom obozowej załogi oraz Eugenii Pol, która sądzona była w latach 1972-1976.

Socjalistyczne poczucie prawne

Procesy miały odmienny charakter i prowadzono je w bardzo różnych realiach politycznych. Dwa pierwsze odbyły się przed tzw. Specjalnymi Sądami Karnymi powołanymi we wrześniu 1944 r. aby rozpatrywać sprawy niemieckich zbrodniarzy wojennych oraz osób współpracujących z okupantem, szczególnie volksdeutsche. Władza chciała szybko i skutecznie wymierzyć sprawiedliwość oczywistym jej zdaniem zbrodniarzom. Konsekwencją były uproszczone procedury, które pozwalały na sprawne i szybkie skazanie podsądnych. Oskarżenie nie wymagało uzasadnienia, a wyroki, które ogłaszano po naradzie były ostateczne i prawomocne. Jerzy Sawicki, sędzia i teoretyk prawa, pisał: „Ustrój i procedura Sądów Specjalnych stanowią wypadkową emocjonalnych potrzeb chwili i nowych tendencji demokratycznego sądownictwa”. Potrzeby te zaspokajano z pomocą ławników, którzy w liczbie dwóch mogli w razie potrzeby przegłosować sędziego. Tym ostatnim nie zawsze bowiem ufano. Jak pisał ówczesny prezes Sądu Najwyższego: „Sędziowie polscy, choć w większości lojalni w stosunku do obecnej rzeczywistości, są przeważnie jeszcze dalecy od szczerze demokratycznego, względnie socjalistycznego poczucia prawnego. Dlatego należy dać w sądach karnych przewagę ilościową ławników nad sędziami państwowymi. Dopóki nie będziemy mieli dostatecznej ilości sędziów o socjalistycznym poczuciu prawnym (...), musimy ich zastępować uspołecz-



Wizja lokalna z udziałem oskarżonej Eugenii Pol w trakcie trwania procesu



Eugenia Pol i inne „wychowawczynie” z małymi więźniami

nionym elementem ławniczym”.

Przed taki właśnie sądem stanęli członkowie załogi obozu Sydonia Bajer i Edward August. W obu przypadkach – podkreślmy – sąd miał do czynienia z obozowymi oprawcami, a ich zbrodnie nie podlegały dyskusji. Wiemy to jednak raczej z późniejszych relacji czy choćby procesu Eugenii Pol z lat siedemdziesiątych. Podczas śledztw z 1945 r. nie zadbano

natomiast o rzetelny materiał dowodowy, starając się po prostu dokonać na oprawcach skutecznej zemsty. W przypadku dochodzenia i rozprawy przeciwko Augustowi przesłuchano łącznie sześć osób. Trzy z nich były świadkami obrony i podkreślały pozytywny stosunek oskarżonego do Polaków. Trzech pozostałych zeznających było sąsiadami oskarżonego i zeznało na temat jego nienawiści do Polaków, strasze-

niu bronią oraz grózb pod adresem mieszkańców kamienicy, w której mieszkał. Żaden ze świadków nie był jednak więźniem obozu przy ul. Przemysłowej! Oskarżenie o zbrodnie w Polen-Jugendverwahrlager opierało się wyłącznie na relacji niejakiego Jana Grzanki, który zeznał, że podczas transportu pociągiem do innego obozu spotkał 14-letniego chłopca, nieznanego mu z imienia i nazwiska, który miał

być więziony na Przemysłowej i opowiadał mu o zbrodniach Augusta.

Najwyższy wymiar kary

Pomimo oczywistych braków w materiale dowodowym, po trwającej nieco ponad 3 godziny rozprawie (razem z przygotowaniem i odczytaniem wyroku) August otrzymał karę śmierci. Charakterystyczne jest uzasadnienie wyroku, w którym sąd lekceważąc zeznania świadków broniących Augusta, uznał je za mało wiarygodne gdyż nie byli więźniami obozu. To, że świadkowie oskarżający go o zbrodnie również nigdy nie byli na Przemysłowej nie miało dla sądu większego znaczenia.

Również Sydonia Bajer została skazana na karę śmierci. Zarzucono jej, że: „idąc na rękę okupacyjnej władzy niemieckiej jako kierowniczka obozu karnego dla dzieci polskich brała udział w znęcaniu się nad nimi, a w szczególności przyczyniła się do śmierci dwóch dziewczynek – Urszuli Kaczmarek i Danuty Jakubowskiej”. Warto dodać, że przytoczony cytat to całość aktu oskarżenia. Dla jego potwierdzenia na rozprawę wezwano pięcioro świadków, z których trójka potwierdzała, choć z wieloma nieścisłościami, fakt bicia i znęcania się nad dziećmi. Sąd potrzebował pięciu godzin by skazać Bajerową na najwyższy wymiar kary. Jedną z wymienionych ofiar – Danuta Jakubowska, przeżyła obóz, a sąd pomylił ją z siostrą – Teresą. Pokazuje to jakość przeprowadzonego wówczas śledztwa i wiarygodność materiału dowodowego.

Przebieg dwóch omówionych procesów oczywiście nie podważa winy skazanych w nich zbrodniarzy. Historycy sięgający do procesowych dokumentów mają jednak poważny problem. Zachowany po rozprawach materiał dowodowy nie tylko nie ułatwia badania historii obozu, ale wręcz je utrudnia. Niektóre wydarzenia zostały bowiem zafałszowane bądź przypisane innym

osobom. Inne całkowicie pominięte. Nie wiemy, tak naprawdę, których przestępstw rzeczywiście się dopuścili. Miało to duże znaczenia dla kolejnego procesu jaki w latach siedemdziesiątych wytoczono obozowej „wychowawczynie” Eugenii Pol.

Proces Eugenii Pol miał nie tylko rozstrzygnąć o winie Eugenii Pol, ale być w pewnym sensie rozliczeniem z historią obozu. Wpisywał się także w politykę historyczną realizowaną wówczas przez komunistyczne władze. Cechowało ją ponowne eksponowanie niemieckich zbrodni, a także podkreślanie martyrologii narodu polskiego. Ten ostatni zabieg czyniony był często w odniesieniu do Holocaustu i miał pokazać równorzędność polskiego cierpienia podczas wojny. Los bezbronnych polskich dzieci zamkniętych w obozie był tutaj bardzo mocnym argumentem. Dlatego proces Eugenii Pol i jego ostateczna wymowa miały dla władzy duże znaczenie.

Warto dodać, że jednym ze świadków w procesie był Józef Witkowski – późniejszy autor monografii obozu, postać tyleż ważna dla propagowania historii obozu, ileż kontrowersyjna. Witkowski wykonał solidną pracę badawczą docierając do więźniów, dokumentów i odtwarzając historię łagru. Robił to jednak w skrajnie tendencyjny sposób starając się zaspokoić potrzeby władzy – np. zacytował liczbę ofiar do zupełnej nierealnych rozmiarów. Elementem tej polityki było też doprowadzenie do głośnego propagandowego procesu, którego „bohaterką” była obozowa nadzorkczyni. Kobieta, której nikt do tego momentu nie wspominał przeszłości obozowej „wychowawczynie”, mieszkająca po wojnie w Łodzi, została oskarżona o najcięższe zbrodnie. Do dzisiaj nie wiemy, które z nich rzeczywiście popełniła.

Kat czy ofiara?

Proces Eugenii Pol vel Genowefy Pohl ciągnął się z przerwami od lipca 1970 do stycznia

1976 r. Przesłuchano 77 byłych więźniów obozu i we wrześniu 1971 r. do Sądu Wojewódzkiego skierowano akt oskarżenia, w którym podsądnej zarzucano zabójstwo sześciu więźniarek. Podawano jednak nazwiska tylko trzech nich, w tym – co znamienne – Urszuli Kaczmarek, za której zabicie skazano już ćwierć wieku wcześniej Sydonię Bajer.

Proces nie wyglądał już jednak tak jak rozprawy z 1945 roku. Prokurator, który zbyt nonszalancko potraktował materiał dowodowy miał ogromne problemy z przekonaniem składu sędziowskiego o winie oskarżonej. Nie pomagali w tym świadkowie, którzy zmuszeni do opisywania traumatycznych przeżyć z obozu popełniali wiele błędów, bądź po prostu nie potrafili odtworzyć w pamięci wydarzeń z wczesnego dzieciństwa. Jak pisał prokurator Zbigniew Piechota, w sprawozdaniu dla swoich przełożonych: „relacjonowali inaczej przedstawione przez siebie fakty niż w toku śledztwa. Zmieniali niektóre okoliczności, wprowadzali i przedstawiali nowe poprzednio nieznanne przypadki”, „podawali inne osoby jako sprawców określonych zdarzeń”. Były nawet przypadki gdy nie potwierdzali zeznań ze śledztwa odczytanych im na procesie.

Osoby dotknięte obozową traumą trudno odnajdowały się w normalnym życiu. Rzadko osiągały zawodowe sukcesy i uzyskiwały wykształcenie. Nie potrafiły także opisywać swoich przeżyć i emocji. Sam prokurator stwierdzał, że byli to ludzie „prości, niewykształceni i podatni na sugestie” a „pobyt w obozie w okresie ich dzieciństwa pozostawił na nich



Dokument potwierdzający wpisanie Eugenii Pol na volkslistę

trwałe ślady”. Nic dziwnego, że w atmosferze publicznego procesu przy licznie wypełnionej sali byli zdeprimowani i gubili się w podstawowych faktach. Paradoksalny a zarazem okrutny okazał się fakt, że ci którzy doświadczyli często najbardziej traumatycznych przeżyć byli – właśnie z tego powodu – mniej wiarygodnymi świadkami obozowych wydarzeń.

Niektórzy z nich, jak komentował prokurator, „czując się w obowiązku udzielenia odpowiedzi na każde zadane im pytanie, czynili to bez względu na to, czy określona okoliczność była im bardziej lub mniej znana, względnie czy słyszeli o niej tylko z opowiadań”. Część z zeznających, którzy

mieli być np. naoczniymi świadkami zabójstwa Urszuli Kaczmarek, trafiła do obozu już po śmierci tej dziewczynki, inni po okazaniu im zdjęć obozowych „wychowawczyń” mylili Eugenię Pol z Sydonią Bajer.

Obrona podkreślała też, że w zeznaniach składanych wcześniej przed Okręgowymi Komisjami Badania Zbrodni Hitlerowskich świadkowie w ogóle nie wspominali Eugenii Pol. Dopiero w prokuraturze – niejako ulegając sugestii przesłuchujących – przedstawiali ją jako „sprawcę określonych zdarzeń”.

Osobny rozdział tej historii to powojenne losy nadzorczyń. Eugenia Pol żyła spokojnie w Łodzi, a nawet spotykała się z niektórymi z więźniarek na gruncie towarzyskim. Mało

tego – niektóre z nich pożyły od niej duże sumy pieniędzy, których nie zwróciły do początku procesu. Nic dziwnego, że także nie mogły być wiarygodnymi świadkami.

Obrońca z urzędu Stanisław Maurer – nb. znany później obrońca w procesach politycznych opozycji demokratycznej w Łodzi – okazał się dla prokuratury trudnym przeciwnikiem. Z łatwością podważał zeznania świadków oskarżenia i ekspozował wszystkie nieścisłości.

Sąd nie mając innego wyjścia 27 marca 1972 r. zwrócił akta prokuraturze nakazując uzupełnienie postępowania. Prokuratura złożyła wprawdzie zażalenie, ale Sąd Najwyższy uznał je tylko za częściowo zasadne i zlecił uzupełnienie śledztwa.

Drugi proces

Wkrótce rozpoczęto przygotowania do nowego procesu, który nie mógł już przynieść tak spektakularnej porażki. 4 maja 1973 r. w Prokuraturze Generalnej PRL w Warszawie odbyła się burzliwa narada, podczas której jawnie mówiono o politycznym charakterze sprawy. Ludomir Anders (dyrektor Departamentu II Prokuratury Generalnej) oświadczył, że „sprawa Eugenii Pol, uwzględniając jej charakter, w żadnym wypadku nie może się zakończyć wynikiem niepożądanym dla prokuratury” oraz, że „należy uczynić wszystko, aby w toku ponownej rozprawy sądowej nie wystąpiły żadne nieprzewidziane dla oskarżenia okoliczności, jak to miało miejsce poprzednio”.

Proces wznowiono 12 marca 1974 r. Zeznania świadków zdaniem sądu były tym razem nieco bardziej przekonujące i jednoznaczne, a Eugenię Pol uznano winną zarzucanych jej czynów. 2 kwietnia 1974 r. skazano ją na 25 lat pozbawienia wolności. Pol nie udowodniono bezpośredniego zabójstwa żadnej z dziewczynek, jednak uznano, że „przyczyniła się do spowodowania śmierci” trzech z nich: Kaczmarek, Jakubowskiej i Bammes. Nieco niejasna formuła, że E. Pol „przyczyniła się do spowodowania śmierci” nie była przypadkowa, ponieważ w chwili śmierci dwóch z nich (w kwietniu 1944 r.) oskarżona od ponad miesiąca nie pracowała już na Przemysłowej, ale w filii łódzkiego obozu w Dzierżąnej. Trzeba więc było bronić tezy, że do śmierci dziewczynki doprowadziło długotrwałe znęcanie się, w którym oskarżona miała swój udział. Wymienione okoliczności sprawiły jednak, że adwokat oskarżonej w skardze rewizyjnej zakwestionował ustalenia sądu. Sąd Najwyższy wyrokiem z 25 stycznia 1975 r. uchylił decyzję sądu wojewódzkiego i skierował sprawę do ponownego rozpoznania.

Wydaje się, że w tym momencie zadziały już wyższe czynniki polityczne. Sąd wojewódzki, choć materiał dowodowy praktycznie się nie zmienił, wydał 27 czerwca 1975 ponownie wyrok skazujący zatwierdzony 30 stycznia 1976 r. przez Sąd Najwyższy. Eugenię Pol uznano winną „brania udziału w zabójstwie” dwóch dziewczynek i skazano na 25 lat więzienia. Na wolność wyszła w 1989 r.

„DZIECI Z ZIELONEGO AUTOBUSU”

Artur Ossowski, „Dzieci z zielonego autobusu”. Zeznania o niemieckim obozie dla polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi (1942-1945), Łódź-Warszawa 2022, 272 s. + 32 s. wkł. zdj., ISBN 978-83-8229-622-8

W przeddzień wkroczenia do Łodzi Armii Czerwonej, 18 stycznia 1945 r., niemiecka załoga opuściła oboz, pozostawiając więźniów własnemu losowi. Dla dzieci skończyła się wojna, ale jej trauma trwała i powróciła po 25 latach, gdy niektóre z nich ponownie musiały spotkać się na sali sądowej ze swoją oprawczynią. W grudniu 1970 r. zatrzymano w Łodzi obozową funkcjonariuszkę Eugenię Pol. Sądzone ją w latach 1972-1976 i skazano na 25 lat więzienia. Nie potwierdzono jednak informacji, że w obozie

Niemcy osadzili ok. 15 tys. nieletnich, z których przeżyć miało jedynie 900 więźniów. Ostateczne dane sugerują, że przez obóz przeszło od 2 tys. do 3 tys. polskich dzieci, a liczba zmarłych i zamordowanych nie przekroczyła ok. 200 osób, choć z imienia i nazwiska ustalono jedynie jedną trzecią ofiar. Historia obozu jest jednak wielowątkowa i nie zakończyła się wraz z II wojną światową. Byli więźniowie wciąż na nią wpływali i dokonowali jej przemodelowania, podążając za politycznymi przemianami oraz chcąc upamiętnić zamordowane i zmarłe w nim dzieci. Dlatego głównym celem niniejszej publikacji jest uzupełnienie informacji o funkcjonowaniu niemieckiego obozu dla polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi, uporządkowanie danych i zaprezentowanie Czytelnikowi

kolejnych materiałów na ten temat. Książka opiera się na archiwaliach z zasobów Instytutu Pamięci Narodowej i dokumentach z Bundesarchiv, przede wszystkim na aktach procesowych Eugenii Pol i Sydonii (Izoldy) Bayer, najlepiej ilustrujących złożoność problemu oraz polityczne tło karania winnych obozowych zbrodni. Analiza mikrohistorii i losów bohaterów opisywanych wydarzeń pozwoliła scharakteryzować kadrę obozu – nie tylko niemiecką załogę, łącznie z volksdeutsche, lecz także polski personel pomocniczy i majstrów żydowskich, ze szczególnym uwzględnieniem roli tych ostatnich w procesie organizacji obozowej produkcji.

Nie w liczbach tkwi jednak tragizm minionych wydarzeń, ani w bestialstwie obozowej kadry, lecz zawarty on jest

w powojennych życiorysach więźniów. Dla nich skutki wojny to sieroctwo, choroby, brak wykształcenia i ciężka praca fizyczna w warunkach powojennych oraz problemy w życiu rodzinnym, ponieważ obóz odcisnął piętno na ich psychice i duszy. Dlatego dziś możemy zadbać o ich godność i przypomnieć, że wśród ofiar II wojny światowej były setki tysięcy polskich dzieci – to im w Łodzi poświęcono pomnik Martyrologii Dzieci, który mieszkańcy miasta nazywają pomnikiem „Pękniętego Serca”. Stąd najnowsza publikacja IPN Oddział w Łodzi i próba podsumowania – w sposób naukowy – znaczenia obozu na mapie niemieckich zbrodni w Polsce, aby pamiętać o tym miejscu trwał i stanowiła element historycznego przekazu dla kolejnych pokoleń.



GDZIE SĄ GROBY DZIECI ZMARŁYCH W NIEMIECKIM OBOZIE PRZY UL. PRZEMYSŁOWEJ W ŁODZI?

Aż 75 z 77 pochowanych na łódzkim cmentarzu przy ul. Kurczaki nieletnich ofiar niemieckiego obozu nie posiada swojego grobu i upamiętnienia. Niepoinformowane i zamieszkałe z dala od Łodzi rodziny nie miały możliwości zadbać o miejsca pochówku swoich dzieci.

DR KRZYSZTOF LATOCHA
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Ogrom cierpienia młodych Polaków, którzy trafili do niemieckiego obozu w Łodzi, skłania do refleksji. Powstaje wiele pytań, lecz na niektóre z nich nie udało się znaleźć odpowiedzi ze względu na brak odpowiednich dokumentów źródłowych. Jedno z takich pytań dotyczy kwestii liczby zmarłych dzieci oraz tego, co stało się z ich ciałami.

Najnowsze szacunki historyków wskazują, że przez obóz przeszło od 2 tys. do 3 tys. polskich dzieci, a liczba jego ofiar nie przekroczyła ok. 200 osób. Nieletni więźniowie obozu przy ul. Przemysłowej umierali z głodu, chorób i wycieńczenia. Świadkowie, którzy przeżyli pobyt w obozie wspominali też liczne zbrodnie popełnione przez jego załogę. Część dzieci została brutalnie zakatowana przez strażników, a część zastrzelono przy próbie ucieczki. Bardzo ważne ustalenia w tej sprawie poczynili pracownicy Oddziałowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi, kontynuujący swoją pracę w Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Łodzi. W ramach prowadzonego śledztwa przeciwko Eugenii Pol oraz w sprawie obozu hitlerowskiego dla dzieci i młodzieży polskiej przy ul. Przemysłowej w Łodzi przeprowadzili kwerendę w aktach Urzędu Stanu Cywilnego - Łódź Śródmieście. Sprawdzono również niemieckie akta Urzędu Statystycznego m. Łodzi w zbiorach ówczesnego Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Łodzi. Udało się odnaleźć akty zgonu kilkudziesięciu zmarłych w obozie dzieci. Obecnie lista potwierdzonych ofiar liczy 77 nazwisk.

Tylko jeden cmentarz

Do niedawna funkcjonowało przekonanie, że zmarłych nieletnich więźniów grzebano



Jurek Rutkowski jako jedna z nielicznych ofiar ma swój grób

na cmentarzu żydowskim w Łodzi, a więc tuż za murem oddzielającym obóz od cmentarza. Twierdzenie to było oparte wyłącznie na niejasnych przekazach ustnych. Głównie żydowskie dokumenty nie potwierdzają tej informacji. Brak odpowiednich źródeł uniemożliwia zweryfikowanie tej hipotezy.

Jedynym udokumentowanym miejscem pochówku ofiar niemieckiego obozu dla dzieci i młodzieży polskiej przy ul. Przemysłowej jest cmentarz rzymskokatolicki św. Wojciecha przy ul. Kurczaki 81 w Łodzi. Podczas okupacji niemieckiej był to jeden z dwóch cmentarzy w mieście, na którym mogli być chowani Polacy. W związku z tym przeprowadzono kwerendę w znajdującej się w Oddziałowym Archiwum IPN w Łodzi

Księdze zmarłych i pochowanych na cmentarzu na Kurczakach w latach 1942-1945 - sygn. IPN Ld 178/3. Informacje te zweryfikowano następnie poprzez wgląd do oryginalnej księgi zmarłych, która znajduje się w kancelarii cmentarza na Kurczakach. W efekcie tych kwerend ustalono zapisy potwierdzające pochówki 77 dzieci. Zapisy z numeracją grobów dzieci, nie odpowiadają jednak współczesnemu podziałowi cmentarza na kwatery. Niestety do obecnych czasów zachowały się tylko dwa groby dzieci zmarłych w obozie przy ul. Przemysłowej - Jerzego Rutkowskiego i Zygmunta Olejniczaka.

Jurek już nie żył

Dziewięcioletni Jurek Rutkowski z Płońska zmarł w obozie 16 grudnia 1943 r. na skutek wyniszczenia organizmu oraz

licznych kar zadawanych przez obozowych funkcjonariuszy. Pochowany został na cmentarzu dwa dni później w dawnej kwaterze nr 2, na polu 12, w linii 1A, w grobie nr 55. Dwunastoletni Zygmunt Olejniczak z Otmianowa zmarł 29 sierpnia 1944 r. i pochowany został trzy dni później w dawnej kwaterze nr 38, na polu 7, w linii 10, w grobie nr 3. Obecna lokalizacja tych grobów jest przesunięta o kilka numerów. W księdze cmentarnej w uwagach przy nazwisku Olejniczaka dopisano „Jugendamt”. Może to wskazywać, że pochówek tego dziecka opłacił niemiecki urząd do spraw dzieci i młodzieży. W oficjalnych dokumentach zapisano, że obaj chłopcy zmarli z powodu gruźlicy płuc.

O tym, że zachowały się tylko te dwa groby dziecięce zadecydowały najprawdopodobniej działania rodzin, które dowiedziały się o ich śmierci. Halina Rutkowska przyjechała do Łodzi 13 grudnia 1943 r. by zobaczyć synka. Gdy wróciła po trzech dniach, by zabiegać o jego uwolnienie, Jurek już nie żył.

Pozostałe groby zostały na przestrzeni lat przekopane i przeznaczone pod nowe pochówki, a ich obecne położenie nie odpowiada zapisom ze starej księgi cmentarnej. Przed II wojną światową teren cmentarza przy ul. Kurczaki był o wiele mniejszy i obejmował tylko jego zachodnią część, ciągnącą się do ul. Bałtyckiej. Obecnie znajdują się tam kwatery o numeracji 1-13. Obszar ten jest dobrze widoczny na niemieckim zdjęciu lotniczym z maja 1942 r. Teren cmentarza został znacznie poszerzony w czasie okupacji niemieckiej. Informację tę potwierdzają najstarsi mieszkańcy, których działki sąsiadują z cmentarzem. Niemcy anektowali pobliskie pola orne i utworzyli kwatery cmentarne, które odpowiadają obecnej numeracji od 14 do 33. Musiało to nastąpić pod koniec 1942 r., gdyż na zdjęciach

lotniczych z 1942 r. cmentarz nie jest jeszcze poszerzony, a w 1943 r. już zaczęto chować zmarłych na nowej części. Północno-wschodnia część cmentarza została zajęta przez kurie dopiero po wojnie i obejmuje ona kwatery od 34 do 52. Widać to dobrze na polskim zdjęciu lotniczym z 1949 r., gdzie włączone pola rolne są dopiero przygotowywane pod pochówki cmentarne. W planach było anektowanie dalszych sąsiednich działek, a po środku nowej części miał się znajdować okrągły plac centralny i aleja. Sąsiadujący z terenem cmentarza łódzianie pamiętają szeroką aleję obsadzoną drzewami, która kończyła się okrągłym klombem. Za klombem była otwarta przestrzeń z polami ornymi. Nie było ogrodzenia, a kwatery cmentarne obsadzono żywopłotem oddzielającym je od pól. Taki obraz potwierdza również zdjęcie lotnicze z 1949 r. W latach 60. zlikwidowano klomb, a na granicy postawiono płot, który przebiegał po skosie narożnika kwatery 33, co jest widoczne na zdjęciu lotniczym z 1969 r.

Ofiary tyfusu

Dzieci zmarłe w niemieckim obozie przy ul. Przemysłowej nie były chowane w jednej kwaterze, lecz ich groby były rozrzucone po terenie całego cmentarza. Mimo że już wtedy istniała kwatera przeznaczona do pochówków dziecięcych (obecnie kwatera nr 12), to tylko troje nieletnich ofiar obozu zostało w niej pochowanych. Księga cmentarna na Kurczakach zaczyna się od pochówku z 16 czerwca 1942 r. Pierwszy zapis dotyczący pochówku dziecka z obozu pochodzi z 11 maja 1943 r. Tego dnia na cmentarzu pogrzebano zwłoki czternastoletniej Urszuli Kaczmarek, która została zakatowana przez obozową wachmankę. Do listopada 1943 r. zmarłe dzieci były chowane na starej części cmentarza, a od grudnia 1943 r. pogrzeby odbywały się

już na nowej części. Prawdopodobnie tej wymyka się tylko grób Jurka Rutkowskiego, który spoczął w kwaterze dziecięcej. Najwięcej pochówków miało miejsce na przełomie 1943 i 1944 r. oraz w marcu i kwietniu 1944 r. Dokumentacja obozowa oraz wspomnienia byłych więźniów potwierdzają, że w tych dwóch okresach wybuchła epidemia tyfusu.

Dzieci bez grobów

W księdze cmentarnej przy nazwiskach chowanych dzieci nie zaznaczano, że zmarły one w obozie przy ul. Przemysłowej. Tylko w jednym przypadku, pochowanego 6 kwietnia 1944 r. Mariana Janasika dopisano w uwagach „Kinder Lager”. Przy zmarłym 22 października 1944 r. Teodorze Borowiaku zapisano natomiast „Jugendamt”, tak samo jak przy nazwisku wspomnianego już Zygmunta Olejniczaka. Brak takich adnotacji uniemożliwia odnalezienie pozostałych pochówków dziecięcych, gdyż konieczna jest w takiej sytuacji znajomość nazwisk wszystkich ofiar obozu. Po wojennej zmianie numeracji kwater, utrudnia dokładną lokalizację grobów dziecięcych. Dodatkowy problem stworzyło poszerzenie niektórych kwater kosztem alejek i wynikające z tego przesunięcia w liniach grobów. Niestety aż 75 z 77 pochowanych na tym cmentarzu nieletnich ofiar niemieckiego obozu nie posiada obecnie swojego grobu i upamiętnienia. Niepoinformowane i zamieszkałe z dala od Łodzi rodziny tych dzieci nie miały możliwości zadbać o miejsca ich pochówku. Po upływie 20 lat ich groby zostały przeznaczone pod kolejne pochówki. Bez zgody współczesnych dysponentów tych miejsc nie można przeprowadzić ekshumacji, ani stworzyć tablic upamiętniających zmarłe dzieci z niemieckiego obozu przy ul. Przemysłowej.

„ROZPACZ BYŁA POWSZECHNA...” DZIECI ZAMOJSZCZYZNY – NAJMŁODSZE OFIARY „AKTION ZAMOŚĆ”

Okrutny los najmłodszych i dorosłych na Zamojszczyźnie związany był z zamiarem przekształcenia Europy Środkowo-Wschodniej w „niemiecką przestrzeń życiową”. Znalazło to swoje teoretyczne i praktyczne przełożenie w tzw. Generalnym Planie Wschodnim (Generalplan Ost), czyli długofalowym planie wysiedleń, kolonizacji i germanizacji. Jako pierwszy do realizacji tych założeń wybrano obszar Zamojszczyzny.

KINGA ŻELAZKO
ODDZIAŁ IPN W LUBLINIE

Rany wojna zadała całej naszej Ojczyźnie – cierpiały też dzieci tu na Zamojszczyźnie. Przyniosła im wojna śmierć i cierpienie, zabrała wielu bliskich, godność i mienie”. Fragment współczesnego wiersza 11-letniej Katarzyny Kolaszyńskiej upamiętnia najmłodsze ofiary niemieckiej akcji wysiedleńczo-kolonizacyjnej na Zamojszczyźnie. Rozpoczęta nocą 27 listopada 1942 r. wysiedleniem Skierbieszowa i sąsiednich Sądów realizowana była z niezwykłą brutalnością do połowy sierpnia 1943 roku. Wśród ok. 110 tys. wysiedlonych Polaków, znalazło się przynajmniej 30 tys. dzieci.

Okrutny los najmłodszych i dorosłych na Zamojszczyźnie związany był z zamiarem przekształcenia Europy Środkowo-Wschodniej w „niemiecką przestrzeń życiową”. Znalazło to swoje teoretyczne i praktyczne przełożenie w tzw. Generalnym Planie Wschodnim (Generalplan Ost), czyli długofalowym planie wysiedleń, kolonizacji i germanizacji. Jako pierwszy do realizacji tych założeń wybrano obszar Zamojszczyzny.

Od samego początku Niemcy prowadzili akcję wysiedleńczą niezwykle brutalnie. Nad ranem lub w nocy, po wcześniejszym otoczeniu wsi, wpadali do domów i wśród wrzasków, bicia wyrzucali mieszkańców: „Słychać było szwargot niemiecki. Zaczęliśmy z siostrą płakać. Była ciemna noc. Niemcy wpadli, kazali się z domu wynosić. Wziąć można było z sobą tylko to, co człowiek mógł w kilka minut zabrać (...) Niemcy chodzili po mieszkaniach i bez przerwy krzyczeli: „Schnell! Schnell!”, pisała po latach Stanisława Syska (z domu Kropornicka). W wieku dziewięciu lat została wysiedlona ze Skierbieszowa z ro-



Jedna ze spacyfikowanych wsi na Zamojszczyźnie, lato 1943 r.

dzicami, siostrą Wacławą i babcią. Niemcy nie zważali na wiek i stan zdrowia ofiar. Wszyscy, nawet obłożnie chorzy, starcy, inwalidzi, małe dzieci i kobiety w ciąży zmuszani byli do opuszczenia domów. Tych, którzy nie byli w stanie tego zrobić, mordowano na miejscu. Niezwykle szybkie tempo towarzyszące wysiedleniom powodowało, że ludzie bardzo często nie mogli zabrać nawet dozwolonego bagażu, minimum żywności i wystarczająco dobrze ubrać dzieci.

Wysiedloną ludność gromadzono w określonym miejscu (np. plac w pobliżu szkoły, kościoła, figury itp.), gdzie trzymano ją czasami po kilka, kilkanaście godzin na mrozie. Po „wstępnej” selekcji, nielicznych pozostawiano we wsi. Pozostałych zaś pod eskortą kierowano do Zamościa, do obozu przejściowego. Później powstał także podobny obóz w Zwierzyńcu.

W obozie przejściowym

W obozie przejściowym w Zamościu Polaków poddawano rejestracji, a następnie całe rodziny stawały przed specjalnymi „komisjami antropologicznymi”. Decydowały one

o ich dalszym losie. Kierując się wzorcem rasy aryjskiej, dokonywały rasowej segregacji wysiedleńców, dzieląc ich na cztery grupy. Do I i II kwalifikowano osoby, które zdaniem Niemców przedstawiały najlepszą wartość rasową i nadawały się do ewentualnej germanizacji. Miały one zostać wysłane do Łodzi, na dalsze badania. Grupę III miały tworzyć osoby zdolne do pracy, w wieku 14-60 lat. Przeznaczono ich na roboty przymusowe w Rzeszy. W grupie IV znaleźć się mieli Polacy, których planowano wysłać do KL Auschwitz, gdzie czekała na nich zagłada przez pracę.

Osoby z III i IV grupy, doświadczały niewyobraźnego dramatu rozdzielenia rodzin. Wyłączano z nich dzieci do 14 roku życia, osoby powyżej 60 lat, a także chorych i lokowano ich w najgorszych pod względem warunków sanitarno-higienicznych barakach. Wcześniej pełniły one funkcję stajni dla koni. Do jednego z takich baraków (nr 16) skierowano wraz z babcią Stanisławę Syskę: „Był to duży barak bez podłogi, bez okien, drzwi to były ogromne wrota (...) Było strasznie ciemno i strasznie

zimno. Wiatr zawodził, baliśmy się Niemców i tych ciemności, które nas otaczały. Płakaliśmy. Modliliśmy się. Co jakiś czas ktoś wołał: „Mamo”, „Tato” – wspominała Stanisława Syska.

„Transporty śmierci”

W niedługim czasie znalazły się one wraz z innymi (tj. niezakwalifikowanymi do zniemczenia dziećmi wraz z starcami) w pierwszym z „sześciu transportów śmierci”, które na przełomie 1942/1943 r. skierowano z obozu w Zamościu do dystryktu warszawskiego. Niemcy na jego terenie (oraz w radomskim) mieli rzekomo utworzyć dla tych osób tzw. wsie rentowe (Rentendörfer). Jednakże do ich powstania nigdy nie doszło.

Osoby te przewożono w katastrofalnych warunkach (nieogrzewane wagony towarowe), w trakcie ostrej zimy. Wiele osób, w tym dzieci, zmarło. Los pozostałych był Niemcom obojętny. Z pomocą przyszła miejscowa społeczność. Zaangażowały się w nią organizacje pomocowe (m.in. agendy terenowe Rady Głównej Opiekuńczej), zgromadzenia zakonne (np. siostry szarytki), harcerki, przedstawiciele świata kultury i sztuki (m.in.



Bronisława Kropornicka wraz z córkami Wacławą i Stanisławą

szwedzka aktorka Elna Gistedt), a także wiele osób prywatnych. Stanisława Syska w Pilawie znalazła schronienie w domu rolnika Józefa Książka, który mimo że sam miał dwójkę własnych dzieci, oprócz dziewczynki zabrał kilkoro innych.

KL Auschwitz

„Pamiętam głód, który skrecał kiszki i zimno takie przejmujące, że nawet serce z zimna się trzęsło” – relacjonowała o swoim pobycie w KL Auschwitz siostra Stanisławy Syski, czternastoletnia wówczas Wacława Kropornicka, skierowana tam wraz z rodzicami. Znalazła się ona wśród co najmniej 162 dzieci, które od grudnia 1942 r. do lutego 1943 r. skierowano do tego obozu.

Zgodnie z tajnymi wytycznymi Hermanna Krumeya (szefa Centrali Przesiedleńczej w Łodzi), opracowanymi dla obozu zamojskiego, do KL Auschwitz jako „siła robocza”

miały trafiać osoby najmniej wartościowe rasowo, pomiędzy 14 a 60 rokiem życia. W praktyce kierowano tam wysiedleńców przekraczających górną granicę wieku oraz dziewczynki i chłopców, którzy nie ukończyli czternastego roku życia.

Do KL Auschwitz wprost z obozu przejściowego w Zamościu przewożono całe rodziny. Wynikała z tego prosta zależność: nawet jak dziecku udało się przeżyć, co było bardzo trudne, to w obozie bardzo często ginęli jego najbliżsi: matka, ojciec, brat, czy siostra. Dwunastoletnia Józefa Głazowska wysiedlona wraz z rodzicami ze wsi Sitaniec k. Zamościa, w obozie straciła matkę i ojca. Sama doczekała wolności w obozie w Potulicach, dokąd w styczniu 1945 r. trafiła wraz z innymi dziećmi.

Wyjątkowo okrutnie w KL Auschwitz potraktowano przywiezionych z Zamojszczyzny chłopców.

Dokończenie na str. 10



ŹRÓDŁO: ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO MUZEUM NA MAJDAŃKU

Rodzina Wilczaków wysiedlona z Dereźni Solskiej. Na zdjęciu brakuje dwojga dzieci, które wraz z całą rodziną po pobycie w obozie przejściowym w Zwierzyńcu umieszczono w KL Lublin



ŹRÓDŁO: ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

Zdjęcie obozowe Krystyny Trześniewskiej, wysiedlonej z Przedmieścia Majdan, numer obozu 27129. W dniu wysiedlenia miała 13 lat.

Dokończenie ze str. 9

Dziewięcioletni Tadeusz Rycyk, wysiedlony z Sitańca z dwójką rodzeństwa i rodzicami, został zamordowany zastrzykiem fenolu. Taki sam los spotkał jego dwunastoletniego brata Stanisława i ponad połowę zamojskich chłopców. Z całej pięćosobowej rodziny obóz przeżyła tylko matka Feliksa.

W ten sam sposób mordowano ciężarne kobiety z Zamojszczyzny i matki z noworodkami. Do liczby zabitych 39 dziewcząt (spośród 79) oraz 74 chłopców (spośród 83) należy dodać nieustaloną liczbę noworodków, które przyszły na świat w obozie.

Na dzieciach z transportów zamojskich przeprowadzono także w KL Auschwitz zbrodnicze eksperymenty medyczne. Wacława Kropornicka została zainfekowana malarią: „dano nam zastrzyki, po których ciało zamieniało się w jeden wielki wrzód, składający się z wielu guzów. Widząc swój stan, sądziłyśmy, że zostaniemy zgłodzone w komorze gazowej (...)” – wspominała po latach.

Ogromna większość Polaków z Zamojszczyzny zmarła w stosunkowo krótkim czasie od momentu przybycia do obozu. Przyczyną wysokiej śmiertelności były częste selekcje, przeprowadzane wśród wszystkich więźniów, trudne warunki atmosferyczne związane z panującą zimą. Dodatkowo, wysiedleńcy trafili do KL Auschwitz II Birkenau w momencie, kiedy był on ciągle jeszcze w stanie budowy, toteż panowały w nim szczególnie katastrofalne warunki higieniczno-sanitarne.

KL Lublin

Innym niemieckim obozem koncentracyjnym, do którego skierowano dzieci z Zamojszczyzny i ich rodziny, był KL Lublin (potocznie nazywany Majdankiem).

Miało to miejsce podczas ostatniej, trzeciej fazy wysiedleń, prowadzonej pod pretekstem walki z partyzantami (operacja pod kryptonimem „Werwolf”). W czerwcu i lipcu 1943 r. na Majdanek deportowano blisko 8600 osób, przeważnie wprost z obozów przejściowych w Zamościu i w Zwierzyńcu. Po przybyciu do obozu, wysiedleńców poddawano tzw. procedurze przyjęcia. Zasadniczo dzieci, które nie ukończyły 14 lat, nie uwzględniono w systemie ewidencji obozowej. O ich pobycie w KL Lublin świadczą jedynie adnotacje umieszczone w kartotekach matek. Starsze traktowano jak osoby dorosłe, co wiązało się m.in. ze skierowaniem ich do pracy w komandach roboczych. Dzieci wraz z matkami umieszczono na III lub V polu więźniarskim.

Warunki bytowe na Majdanku były tragiczne. Stanisława Wilczak, która została wysiedlona z Dereźni Solskiej jako ośmioletnia dziewczynka razem z rodzeństwem i rodzicami, tak opisała swój pobyt w KL Lublin: „W dzień siedzieliśmy na piachu przed barakiem i tam nam dawano śniadanie. Czarną kawę gorzką jak piołun, kromeczkę chleba. Zawsze mówiłam, że „mnie ten chlebek zmieści się na dłoni, to musiało starczyć do obiadu(...)”. Insekty tak nas gryzły, że siedząc na piachu widzieliśmy łąkę wszyszy”.

Wszelchobecny głód, infekty, przepełnione baraki oraz katastrofalne warunki higieniczno-sanitarne były przyczyną wysokiej śmiertelności wśród najmłodszych więźniów. Dodatkowo, w lipcu 1943 roku, władze obozu odcięły więźniom z III pola dostęp do wody, co jeszcze bardziej pogorszyło i tak już dramatyczną ich sytuację.

Dzieci z Zamojszczyzny przebywały w KL Lublin kilka tygodni. Po tym czasie większość z nich wraz z rodzicami

skierowano do obozu przy ulicy Krochmalnej w Lublinie, skąd wywożeni byli do niewolniczej pracy na terenie III Rzeszy. Część małoletnich więźniów Majdanka zwolniono z obozu dzięki ogromnemu zaangażowaniu organizacji pomocowych, m.in. Rady Głównej Opiekuńczej. Wiele z nich, chorych i wycieńczonych, trafiło do lubelskich szpitali, w których otrzymały natychmiastową pomoc. Ostatnie zdrowie zwolnionych z Majdanka dzieci dowiadujemy się m.in. z relacji Ireny Wysłobodkiej, pielęgniarki zatrudnionej w szpitalu Jana Bożego w Lublinie, który przyjął grupę najmłodszych więźniów obozu: „Dzieci były kompletnie wycieńczone, chorowały na biegunkę (...) Jedną z dziewczynek, dziewięcioletnią Marysią, wyglądała jak niewielki kłębuszek. Przyniesiono ją zwinętą w koc. Nie mogła o własnych siłach stać ani siedzieć, nie była w stanie samodzielnie jeść (...) Dziewczynkę udało się uratować. Około 30 zmarło jednak wskutek wycieńczenia. Dzieci były potwornie zaważone”.

Roboty przymusowe w III Rzeszy

Wysyłanie na roboty przymusowe do III Rzeszy była to kolejna kwestia, która dopełniała tragiczny los najmłodszych zamojskich ofiar. Teoretycznie kierowane miały być tam osoby zdolne do pracy, a więc zakwalifikowane do grupy III, w wieku 14-60 lat. Praktycznie niewolniczą siłą roboczą stawały się także dzieci poniżej dolnej granicy. Taki los spotkał np. dwunastoletniego Jana Filistę wysiedlonego ze wsi Luchów Dolny. Wraz z rodzicami i rodzeństwem trafił do pracy w niemieckiego gospodarza w Rzeszy. Pisał on: „(...) Matka z siostrą zostały przydzielone do pracy w polu, ojciec z bratem też dostali swoje zadanie, a mnie, najmłodszemu, najpierw przy-



ŹRÓDŁO: AIPN

Badania wysiedlonej ludności przez niemieckiego lekarza, 1943 r.

dzielono woły pociągowe, a potem konie. Miałem zaledwie 12 lat i z trudem sobie z tym radziłem (...)”.

Na roboty w Niemczech trafiały także rodziny z licznym potomstwem oraz samotne matki z dziećmi. Przykładem może być rodzina Obirków z Rudy Różanieckiej: matkę Bronisławę i czwórkę jej dzieci: jedenastoletnią Heleną, czteroletnią Anielą, sześciolatniego Mieczysława i pięcioletnią Łucją z KL Lublin skierowano do pracy w Rzeszy.

Pacyfikacje

W ścisłym związku z akcją wysiedleńczo-kolonizacyjną na Zamojszczyźnie pozostawały także pacyfikacje. Niezależnie od zastosowanej formy, rodzaju użytych sił wojskowych lub policyjnych, elementem wspólnym była niewątpliwie brutalność, z jaką Niemcy obchodzili się z mieszkańcami danej wsi. Mordowano ludzi bez względu na płeć i wiek. W gronie ofiar znajdowali się nie tylko dorośli, lecz także bezbronni dzieci. Wśród 165 zamordowanych (11 grudnia 1942 roku) mieszkańców Kitowa znalazło się np., co najmniej 28 dzieci poniżej 15 roku życia. 29 grudnia 1942 roku w Białowoli, Niemcy zabili 52 osoby, w większości kobiety i dzieci.

Dziewięcioletnia Teresa Ferenc oraz jej rodzeństwo – pięcioletni brat i dwuletnia siostra – byli nielicznymi osobami, które przeżyły pacyfikację wsi Sochy. 1 czerwca 1943 roku Niemcy zamordowali na ich oczach rodziców: „Tamtej nocy nad ranem, miałam dziwny sen (...) Z tego snu wybudziła mnie właśnie matka: Tereska, ubieraj dzieci, bo dookoła się pali, musimy uciekać (...) Wyszłyśmy z domu na polną drogę. Niemcy stali w górze dość daleko (...) nagle mama zauważyła, że ojciec pada. Powiedziała: chyba tata nie żyje, a ja jej odpowiedziałam, że on się specjalnie położył, bo tak myślałam. Niemcy szli między płotem a żytem, ciągle strzelając. Doszli do nas. Jeden z nich strzelił do mamy. Wypuściła z rąk Krysie, moją młodszą siostrę, która miała wtedy dwa lata (...) Na podwórzu u dziadków wpelzłam ze strachu pod drabiniasty wóz (...) Ledwo wpelzłam i (...) po wozie poszła seria (...) Od tego wszystkiego zaniemówiłam. Po trzech dniach dopiero zaczęłam płakać. Inie mogłam przestać przez cały rok (...)”.

Rabunek dzieci w celu germanizacji

Dzieci z Zamojszczyzny znalazły się też w gronie co najmniej 200 tys. polskich dzieci zrabowanych w celach germanizacyj-

nych. Wyszukiwane m.in. podczas „badań rasowych” w obozach przejściowych, odpowiadające wzorcowi rasy nordyckiej były w sposób bezwzględny odrywane od matek i kierowane np. do niemieckich rodzin lub placówek Lebensbornu, gdzie robiono wszystko, aby nigdy nie dowiedziały się o swoich polskich korzeniach. Dlatego niewiele z nich udało się odnaleźć.

Powroty...

„Z różnymi przygodami dotarłam z siostrą Józefą do Lublina. Później do rodzinnej wioski do Mokrego. Ale tak naprawdę nie było do czego wracać. Nasz dom został na polecenie Niemców rozebrany. Mama, ojciec i brat nie żyli” – pisała o swoim powrocie w rodzinne strony Zofia Łyś (z domu Bondyra), wysiedlona w wieku piętnastu lat z rodzicami i rodzeństwem ze wsi Mokre. Po pobycie w KL Auschwitz, gdzie straciła matkę, ojca i brata, została deportowana do obozów: Natzweiler, Ravensbrück, Berlin-Köpenick oraz Sachsenhausen. Dramatyczny, nieludzki i niewyobrażalny los jaki stał się udziałem Zofii Łyś oraz pozostałych polskich dzieci z Zamojszczyzny odcisnął trwałe piętno na ich psychice oraz w ich dorosłym życiu.

Podsumowanie

Niemcy wcielając w życie bezprecedensową (poza eksterminacją europejskich Żydów), akcję wysiedleńczo-osadniczą na Zamojszczyźnie odebrali najmłodszym ich godność, prawo do normalnego dzieciństwa, w wielu przypadkach ukochanych rodziców i rodzeństwo, czyniąc je sierotami. Zabrali im także rodzinny dom, zdrowie fizyczne i psychiczne, świadomość polskiego pochodzenia (w przypadku tych, których poddali germanizacji), a co najważniejsze – życie. Przyjmuje się, że spośród przynajmniej 30 tys. wysiedlonych dzieci, 10 tys. straciło życie.

OBÓZ RASOWY PRZY ULICY SPORNEJ 73 W ŁODZI

W okresie niemieckiej okupacji w budynku klasztornym OO. Bernardynów położonym w Łodzi przy ulicy Spornej 73, mieścił się obóz określany powszechnie obozem rasowym (Rassenlager). Według Heinricha Himmlera, szefa SS, należało „czyste rasowo małe dzieci” odebrać polskim rodzinom, aby mogły być wychowywane w duchu niemieckim.

DR MICHAŁ KOBIERECKI
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Nie wiadomo dokładnie kiedy obóz powstał, ale od początku lutego 1940 r. Niemcy rozpoczęli wysiedlanie zakonników z klasztoru, by prawdopodobnie od jesieni tego roku zaczął tam funkcjonować obóz łódzkiej filii Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa (Rasse- und Siedlungshauptamt SS, Ausenstelle Litzmannstadt Lager) przy Landsknechtstrasse lub Wotanstrasse 73. Jego działalność zakończyła się w styczniu 1945 r.

Od strony formalnej brakuje dokumentów potwierdzających założenie owego obozu, ale jego celem było prowadzenie germanizacji wobec Polek i Polaków, którzy według niemieckich władz mogli powiększyć naród „Panów”. Według Heinricha Himmlera szefa SS należało „czyste rasowo małe dzieci” odebrać polskim rodzinom, aby w przedszkolach czy domach dziecka mogły być wychowywane w duchu niemieckim. Umieszczano w nim osoby z Łodzi i okolic, ale również z Kujaw, Pomorza i Wielkopolski, które władze niemieckie wyłuskiwały spośród lokalnych społeczności podczas kontaktów z aparatem biurokratycznym III Rzeszy. Pochodziły one z obozów przesiedleńczych, istniejących na terenie Kraju Warty, czy młodzieży zgłaszającej się do Arbeitsamtów w celu podjęcia obowiązkowej pracy, albo prosto z zakładów pracy. Umieszczano tam także matki z dziećmi, których mężowie przebywali w więzieniach bądź obozach. Ponadto kierowano tam chłopców o cechach nordyckich z obozu dla młodzieży istniejącego przy ulicy Przemysłowej w Łodzi, po uprzedniej wstępnej kwalifikacji.

Szczegółowe badania

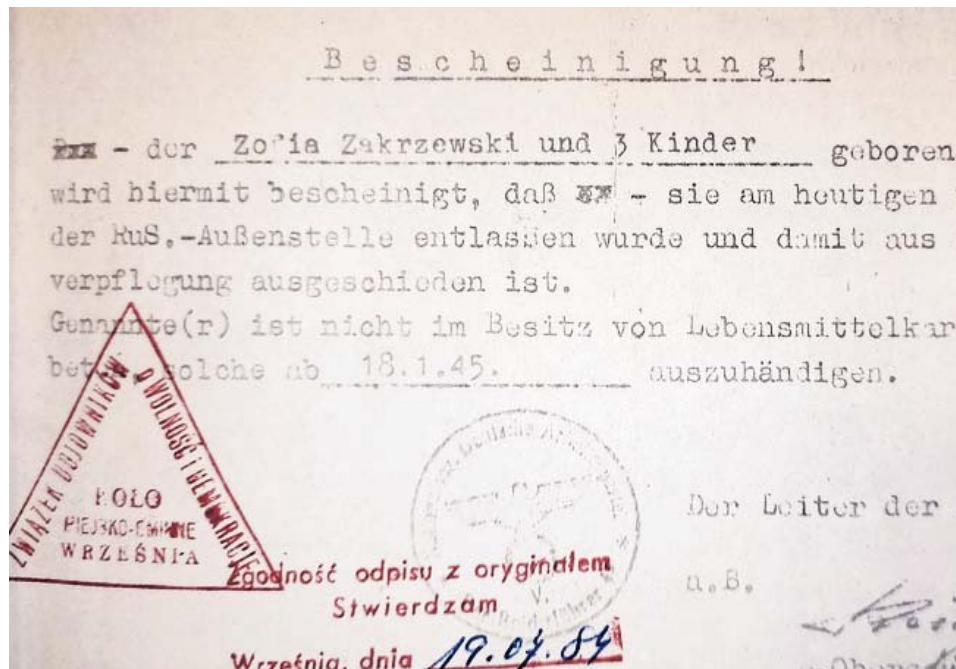
Warunki pobytu w obozie rasowym były lepsze od obozów pracy, czy przesiedleńczych jednak daleko im było do standardów uznawanych za znośne. Więźniowie przebywali w salach dwudziesto-, czterdziesto-, jak i dwuosobowej (sala gimnastyczna), w tym dzieci poniżej 7 roku życia były razem z mat-

kami, a starsze, młodzież i dorośli zostali podzieleni według wieku i płci, a następnie umieszczano ich w odrębnych salach. Czasem zdarzało się jednak, iż całe rodziny przebywały razem, co wynikało najprawdopodobniej z przeludnienia obozu. Według złożonych relacji osób przebywających w obozie, mogło tam być jednocześnie około 1000 kobiet, dzieci oraz mężczyzn.

Po przybyciu do obozu więźniom wykonywano zdjęcia i nadawano numer, którym posługiwano się w trakcie badań. Wyjątkowo skrupulatne badania przeprowadzała kilkusobowa komisja, której członkowie dokonywali wielu pomiarów różnych części ludzkiego ciała w tym: objętość głowy, wysokość głowy, objętość przedramienia, nóg nad kostką, łydki i uda, klatki piersiowej, bioder oraz talii. Mierzono także długość kończyn, badano proporcje budowy twarzy, kolor włosów i oczu, stan wzroku oraz uzębie. Wykonywano również specjalistyczne badanie krwi, czy badanie rentgenowskie. W niektórych przypadkach podawano zastrzyki, ale nie miały one charakteru eksperymentów medycznych. Przeprowadzano szczegółowe wywiady pytając m.in. o zainteresowania, przebyte choroby - nie tylko przez samego badanego, lecz również jego bliższą i dalszą rodzinę.

Udowodnić typ nordycki

W obozie panowała duża rotacja osób zatrzymanych i okres ich pobytu wynosił od kilkunastu dni do kilku miesięcy, co zależało od wyników pierwszej fazy badań. Gdy odnajdywano jakieś skazy, dyskredytujące badanego, wywożono go do innego obozu - przeważnie podległego Urzędowi Pracy (Arbeitsamt) w Łodzi, lub zwalniano do domu. Jeśli pierwsze badania wypadły pozytywnie - z punktu widzenia niemieckich interesów - przeprowadzano kolejne, bardziej szczegółowe. Zdarzało się, iż dla udowodnienia, że więzień reprezentuje typ nordycki, sprowadzano do obozu jego rodzinę, którą również poddawano badaniom.



Dokument zwolnienia z obozu Zofii Zakrzewskiej i jej trojga dzieci w dniu 17 stycznia 1945 r.

Każdy dzień w obozie zaczynał się i kończył apelem. Osadzeni w obozie, w szczególności dotyczyło to młodzieży i dorosłych, byli zatrudnieni przy pracach pomocniczych w kuchni, przy sprzątanii terenu oraz w pracach w przyobozowym gospodarstwie rolnym. Prace te wykonywano pod nadzorem funkcyjnych. Za popełnione przez więźniów przewinienia funkcjonariusze załogi karali biciem.

Wiadomo, że przebywający w obozie więźniowie otrzymywali codziennie trzy posiłki. Na śniadanie i kolację wydawano dwie kromki chleba z marmoladą i czarną kawę zbożową, a czasem wieczorem zamiast tego była kasza lub ziemniaki. Natomiast na obiad podawano zupę z kapusty, buraków lub brukwi oraz kromkę chleba. Nie były to wystarczające racje żywnościowe, szczególnie w odniesieniu do dzieci, a osadzeni spali na piętrowych łózkach wyłożonych niewielką ilością słomy i do przykrycia służyły im cienkie koce. Ponadto była jedna umywalka na kilkadziesiąt osób. Złe wa-

runki żywieniowe wraz z trudnymi warunkami bytowymi doprowadziły, że wśród więźniów, przede wszystkim dzieci i młodzieży, szerzyły się różne choroby. Brak odpowiedniej opieki lekarskiej i leków przyczyniły się do rozwoju dyfteryi i szkarlatyny, co potwierdzają informacje pochodzące z zachowanych skąpych źródeł, gdyż od marca 1941 r. w obozie zmarło na te choroby co najmniej 41 więźniów w wieku od 8 miesięcy do 31 lat. Poza tym sporadycznie pojawiała się biegunka i chorowano na zapalenie opon mózgowych. Z powodu braku informacji nie można ustalić, czy dochodziło do zabójstw spowodowanych przez strażników bądź obsługę obozu. Wiadomo natomiast tylko o jednym takim przypadku.

GDY ODNAJDYWANO JAKIEŚ SKAZY, DYS- KREDYTUJĄCE BADANEGO, WYWOŻO- NO GO DO INNEGO OBOZU LUB ZWALNIA- NO DO DOMU

Wiadomo, że przebywający w obozie więźniowie otrzymywali codziennie trzy posiłki. Na śniadanie i kolację wydawano dwie kromki chleba z marmoladą i czarną kawę zbożową, a czasem wieczorem zamiast tego była kasza lub ziemniaki. Natomiast na obiad podawano zupę z kapusty, buraków lub brukwi oraz kromkę chleba. Nie były to wystarczające racje żywnościowe, szczególnie w odniesieniu do dzieci, a osadzeni spali na piętrowych łózkach wyłożonych niewielką ilością słomy i do przykrycia służyły im cienkie koce. Ponadto była jedna umywalka na kilkadziesiąt osób. Złe wa-

Teraz jesteście Niemcami

Przez obóz przechodzili różni więźniowie ze względu na wiek i płeć, ale dla każdego z nich, który został uznany za odpowiedzialnego do zniemczenia były przewidziane konkretne role. Młodzież obu płci w wieku od 14 do 18 lat była przewożona z obozu w głąb III Rzeszy i umieszczana w niemieckich rodzinach. Wymagano by uczyli się języka niemieckiego oraz zakazywano kontaktów z innymi Polakami. Ich obowiązkiem były prace porządkowe u niemieckich opiekunów. Dziewczęta prowadziły dom, opiekowały się dziećmi, chłopcy pracowali w fabrykach, wykonywali różne prace w gospodarstwach rolnych. Cały czas wpajano im, że są ludźmi wyższej kategorii, z drugiej jednak strony z reguły nakazywano im pracę ponad siły, często z minimalnym wynagrodzeniem. Cały czas towarzyszyła im również troska o losy bliskich, z którymi ich rozdzielało.

Drugą grupę stanowiły dzieci osadzone w obozie razem z matkami i poddawane badaniom lekarskim; to one były najbardziej skrupulatnie badane. Jeśli wynik był pozytywny, oczywiście z punktu widzenia interesów niemieckich, to dalszy tok postępowania uza-

leżniony był od wieku dziecka. W wypadku starszych - wywożone je w głąb III Rzeszy wraz z matką. Wszyscy byli zmuszeni do pracy, musieli porozumiewać się jedynie w języku niemieckim, zaś dzieci obowiązkowo uczyły się tego języka. Czasem, już po wywiezieniu, oddzielano jednak dzieci od matek i Niemcy je w ośrodkach germanizacyjnych.

Podobny los czekał najmłodsze dzieci. Gdy uznawano, iż reprezentują typ nordycki, również zabierano je od matek i wywożono w głąb Rzeszy, bądź do jednego z ośrodków germanizacyjnych w Kraju Warty. Jeden z nich istniał w Kaliszu, gdzie małe dzieci uznane za czyste rasowo przewożono do domów dziecka, czy ośrodków Stowarzyszenia „Lebensborn”, położonych w Austrii lub Rzeszy. Poza tym były bardziej niż inne podatne na panujące w obozie choroby. Natomiast pozostałe uznane za nieodpowiednie w części oddawano rodzinom lub przekazywano do domów dziecka.

W odróżnieniu od innych obozów funkcjonujących w Łodzi w okresie niemieckiej okupacji, obóz rasowy przy ulicy Spornej 73 był objęty ścisłą tajemnicą. Nie odnaleziono dokumentu na podstawie, którego ów obóz powstał. W momencie, gdy zbliżał się koniec III Rzeszy, dokumentacja dotycząca germanizacji tysięcy Polaków i osób innych narodowości była w pierwszej kolejności niszczone. Stąd niewiele informacji o funkcjonowaniu tego jak i innych podobnych obozów. Ponadto niemieccy funkcjonariusze zmieniali dane osobowe osób, dzieci, które zostały poddane germanizacji, czasami wielokrotnie. W konsekwencji nie udało się ustalić historii życia wielu dzieci, które przeżyły wojnę i wróciły bądź nie do Polski. Wiele z nich w latach 1946 - 1948, a czasem i jeszcze później, często przez Szwajcarię, Włochy i znajdujące się tam ośrodki Czerwonego Krzyża, wróciło do Polski. Jednak niektóre z dzieci, czy z młodzieży nie miały ochoty wracać do zniszczonego kraju bądź rodziców, których nie pamiętały.

DR JOANNA ŻELAZKO
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Siostra Magdalena, czyli Irena Śmiałowska, wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Urszulanek w Pniewach w 1935 r. Dwa lata później przyjechała do domu zakonnego w Łęczycy. Pracowała tam w - prowadzonym przez zgromadzenie - przedszkolu.

Po napaści III Rzeszy na Polskę, w dniu 12 września 1939 r. wojska niemieckie wkroczyły do Łęczycy. Urszulanki mieszkaly, tak jak przed wojną, przy ul. Poznańskiej 6. Wznosiły także - bez wiedzy władz okupacyjnych - działalność przedszkola. Prowadziły je do 3 października 1940 r., kiedy to Niemcy zajęli większość pomieszczeń należących do zgromadzenia.

Początkowo siostram udało się uniknąć wywieżenia do Generalnego Gubernatorstwa, jednak w zamian musiały szyć, cerować i prać ubrania Niemcom. Nie na długo zabezpieczyło je to przed wywózką. 6 lipca 1942 r. ruszyły pociągiem z Łęczycy: „zajeżdżałyśmy do stacji Schmückert” [Bojanowo]. Razem z duchownymi oraz zakonnicami z innych zgromadzeń trafiły do tamtejszego obozu. Cztery miesiące później, s. Magdalena wytypowano do dalszego wyjazdu. Była zrozpaczona: „płakałam jak z tego obozu wychodziłam”.

Czy siostra kocha dzieci?

Wybrane zakonnice zostały przewiezione do Poznania. Tam je rozdzielono. Siostra Magdalena trafiła, jako opiekunka, do domu dziecka usytuowanego przy ul. Głównej. Trafiły do niego zarówno dzieci polskie, jak i niemieckie z Poznania i okolic. Te pochodzenia polskiego znalazły się tam, ponieważ - zdaniem okupantów - wykazywały cechy nordyckie, a więc nadawały się do zniemczenia. Ich rodzice byli w więzieniach albo nie żyli. Natomiast dzieci niemieckojęzyczne, które stanowiły mniejszość, najczęściej pochodziły z mieszanich związków polsko-niemieckich. Zabierano je wbrew woli rodziców i starano się wychowywać w posłuszeństwie Führerowi.

Dzieci nie zawsze respektowały nakaz mówienia po niemiecku. Tym bardziej, że s. Magdalena mówiła do nich wyłącznie po polsku. Twierdziła, że nie zna niemieckiego. Kierowniczka domu dziecka próbowała wymusić posługiwanie się przez wszystkich językiem niemieckim, ale z różnym skutkiem. Kiedy s. Magdalena została z podopiecznymi sama, znów rozmawiała z nimi



Siostra Magdalena została odznaczona w 2005 roku



Siostra Magdalena z dziećmi w 1943 roku

CICHA BOHATERKA W HABICIE

Niemka kierująca domem dziecka zapytała siostrę Magdalena, czy mówi po niemiecku. Siostra skłamała zaprzeczając. Niemka знаła trochę polski.

- Czy siostra chce u nas zostać? Ja mówię: jak mnie tu przysłali, no to

zostanę. - Czy siostra kocha dzieci?, a ja mówię: bardzo kocham dzieci.

- Dzisiaj dwoje przyjedzie, to niech się siostra tymi dziećmi zajmie”.

po polsku. Nie chciała, aby dzieci zapomniały mowę ojczystą i straciły poczucie przynależności narodowej.

W 1943 r. s. Magdalena została przeniesiona do domu dziecka przy ul. Warszawskiej w Poznaniu. Kiedy tam przyjechała, została wezwana na rozmowę przez niemiecką kierowniczkę placówki, która zapytała ją, czy mówi po niemiecku. Siostra skłamała zaprzeczając. Wtedy: „popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się, (...) ona umiała trochę po polsku i mówi: czy siostra to chce u nas zostać? Ja mówię: jak mnie tu przysłali, no to zostanę. - Czy siostra kocha dzieci?, a ja mówię: bardzo kocham dzieci. - Dzisiaj dwoje przyjedzie, to niech się siostra tymi dziećmi zajmie”. I siostra Magdalena została.

W tym domu dziecka były dzieci z małżeństw mieszanych. Najczęściej matka

była Polką, a ojciec Niemcem. Gestapowcy „wchodzili do mieszkań i kazali pokazać dzieci, później brali [je] pod pachę i do auta (...) uważali, że to są już ich dzieci i zabierali, a rodzice nawet nie wiedzieli gdzie one są”. Odrwane od najbliższych bardzo tęskniły i często płakały. Poruszona tym s. Magdalena postanowiła im pomóc.

To była misja bardzo nieostrożna...

Dodatkowo do działania zmotywowała ją informacja, że dzieci miały zostać wywiezione do Niemiec i wynarodowione. Od zakonnic pracujących w kancelarii domu dziecka otrzymała nazwiska i adresy rodziców dzieci. Wykorzystując przysługujące jej w tygodniu pół dnia wolnego od pracy s. Magdalena, chodziła pod te adresy i informowała rodziców, gdzie dzieci

przebywają. „Im nie wolno było przychodzić do dzieci, żeby się nie wydało. To była misja bardzo nieostrożna, ale tym ludziom bardzo potrzebna, oni tak bardzo się cieszyli [z tych informacji]”.

W styczniu 1945 r., z powodu nadciągającego frontu, Niemcy prowadzili ewakuację. Postanowili, że wychowankowie (około trzydzieścioro dzieci) i opiekunki, pojedą do Niemiec. Siostra Magdalena nie zgodziła się wyjechać, chciała też zapobiec wywózce dzieci: „Trzeba było to tak zorganizować, żeby po prostu porwać chociaż niektóre dzieci, bo wszystkich się nie dało”.

Dzieci podzielone zostały na dwie grupy. Jedną miała jechać pociągiem, drugą autobusem. Na Dworzec Wschodni w Poznaniu zwożono je samochodami i tam przesiadały się do pociągu. Odbywało się to

nocą. W podobnych okolicznościach - w nocy - miała wyjechać grupa podróżująca autobusem. Późna pora i pośpiech dawały szansę na realizację planu.

Kiedy s. Magdalena dostała polecenie pakowania bagaży dzieci i poznała termin ewakuacji, postanowiła działać. Kierująca domem dziecka Niemka miała do niej zaufanie, dlatego zgodziła się, aby mimo gorącego okresu przygotowań do wyjazdu, wykorzystała przysługujące jej wolne od pracy popołudnie. Siostra spożytkowała ten czas na wędrowkę po Poznaniu i zawiadamianie rodziców lub dziadków wywożonych dzieci o terminie wyjazdu i pomyśle na „porwanie”. Powiedziała o której i gdzie będzie czekał autobus, żeby przyszli w to miejsce. „Kto może to niech porwie. Przecież sama nie mo-

głam tego zrobić, bo Niemcy mnie znali i dzieci było za dużo”.

Siostra poprosiła kierowcę, aby - w zamian za подарowane mu papierosy - otworzył tylne drzwi pojazdu i udawał, że nie widzi, co się dzieje. Mężczyzna dał się przekonać. Kobieta wprowadzającą dzieci do autobusu wypuszczała tylnym wejściem te, które wcześniej przytuliła s. Magdalena. W pobliżu czekali ich rodzice i zabierali je do domów. Te, które odejechały, nie dotarły daleko. „Dowiedziałam się, że gdzieś jeszcze przed Niemcami zatrzymano autobus z dziećmi, akurat naszymi i wyrzucono je z niego. Niektóre dzieci po jakimś czasie wróciły do swoich domów. Nie wiadomo co się stało z pozostałymi”.

Natomiast dzieci, które pojechały na dworzec samochodami, musiały przesiąść się do pociągu. W czasie wsadzania ich do wagonów kolejowych, część udało się wykraść czekającym w pobliżu rodzicom. „Po kryjomu zabierali i Niemcy nawet nie spostrzegli się”. „Mnie by wtedy pociąg przejechał, bo biegłam do tej stacji Poznań Wschód, żeby porwać jeszcze jedno dziecko, które nie było porwane. To był koszmar... była noc... te dzieci płakały”.

Siostra Magdalena szczególnie zapamiętała małego chłopca - Marysia, który nie poznał swojej matki. Kobieta próbowała zabrać go w czasie przesiadki, ale wystraszone dziecko zaczęło krzyczeć. Nadzorujący wyjazd Niemcy zorientowali się, co się dzieje i odebrali go od matki. Pomoc nadeszła z nieoczekiwanej strony. Jedną z pracujących w domu dziecka Niemek - poznanianką, która nie chciała wyjeżdżać do Rzeszy, wytłumaczyła Marysiowi, żeby się nie bał, bo ta kobieta to jego mama i powinien do niej iść. Uspokojony chłopiec posłuchał jej i w ten sposób udało się uratować również jego.

Powrót do Łęczycy

Po zakończeniu wojny siostra Magdalena miała kontakt z wielkimi grupami uratowanych dzieci. Spowodowane to było tym, że większość z nich znała tylko jej imię, a nie nazwisko, czy nazwę zgromadzenia. Poza tym siostra wróciła do Łęczycy, o czym nie wiedzieli ludzie, którym pomogła. Jednak nie można mieć wątpliwości, że pozostała w ich wspomnieniach, jako symbol miłości i dobroci.

Za zasługi w ratowaniu polskich dzieci w okresie II wojny światowej s. Magdalena została 20 maja 2005 r. odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

DZIECI W OBOZIE W POTULICACH POD NAKŁEM (1941-1945)

Dzieci uczestniczyły w wielogodzinnych apelach, stojąc na zewnątrz w bieliźnie i bez butów. Spały na podłodze, na słomie i głodowały. Były poddawane eksperymentom pseudomedycznym. Najmłodsze wykorzystywano też do prac porządkowych w obozie. Stworzono dla nich osobne komando pracy, które nadzorował esesman.

DR IZABELA MAZANOWSKA
DELEGATURA IPN
W BYDGOSZCZY

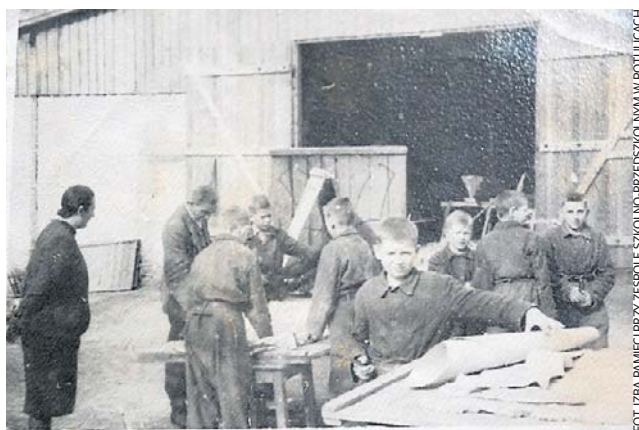
Najbardziej zapamiętałam dzień, gdy z grupą dzieci zauważyliśmy, jak wartownik jadł chleb, stanęłam pod wieżą razem z nimi i wołałiśmy: <<Gib mir Brot>>, bo byliśmy bardzo głodni”.
Relacja Lidii Kubackiej z d. Żyła

„...jako 13-letni chłopak z narażeniem własnego życia przekradałem się do lochów zamku potulickiego, aby przez zamknięte podwójne drzwi, umożliwiające przez otwory zamka podanie za pomocą słomki i butelki wody, ratować matkę i utrzymać przy życiu.”
Relacja Kazimierza Wojczyńskiego

„Miałam dopiero lat trzynaście, ale zabrano mnie wraz ze starszymi kobietami, do pielienia młodego sadu. Gołymi rękami kazano nam usunąć perz. Skubaliśmy więc zdartymi do krwi palcami ów perz a była to praca bezużyteczna, gdyż było pewne, że jeżeli korzenie zostaną w ziemi, to po pierwszym deszczu perz będzie rósł jeszcze bujniej”.
Relacja Cecylii Samselskiej

„My, dzieci najwięcej baliśmy się rozdzielania od rodziców. Na szczęście pozostaliśmy razem. Najgorsze były noce, bo panowała straszna ciasnota i zaduch. Barłóg, na którym spaliliśmy, trząsł się od pcheł i wszy. Ciało mieliśmy pokłute i podrapane niemożliwie. Matka ukradkiem, w krzakach wyskubywała nam gnidy z włosów, by Niemcy nie zgolili nam głów. Rośnięte dzieci także chodziły do roboty. Chociaż miałam dziewięć lat, ale byłam wysoka, więc musiałam zbierać kamienie na terenie przeznaczonym pod nowy obóz i wykonywać różne inne prace porządkowe. Ale ta praca o głodnym żołądku nie była tak straszna jak noc w zaduchu, gdzie ciało zżerały insekty”.
Relacja Wandy Gałaskowej z d. Robak

Przytoczone powyżej relacje byłych więźniów obozu w Potulicach, będących w czasie wojny dziećmi obrazują dra-



Nieletnich zatrudniano w przedsiębiorstwach obozowych

mat obozowego życia. Dla najsłabszych, czyli dzieci i osób starszych było ono szczególnie trudne do zniesienia.

Jak obóz koncentracyjny

Polityka władz niemieckich w odniesieniu do Pomorza Gdańskiego miała doprowadzić do całkowitego „odpolszczenia” tych ziem. Uważano, że są one rdzennie niemieckie i po okresie II Rzeczypospolitej zamierzano uczynić wszystko, aby przywrócić stan z czasów zaborów. W pierwszej kolejności na masową skalę eksterminowano Polaków uznanych za wrogów Rzeszy. W wyniku zbrodni popełnionych w okresie od września do grudnia 1939 r. na terenach wchodzących w skład przedwojennego województwa pomorskiego życie straciło ok. 30 tys. osób. Kolejnym działaniem były wysiedlenia ludności nienadającej się do germanizacji, przeważnie do Generalnego Gubernatorstwa lub w mniejszym zakresie na roboty przymusowe do Niemiec czy też na badania rasowe w obozie Urzędu Rasy i Osadnictwa SS w Łodzi i sprowadzenie na ich miejsce Niemców z krajów zamieszkałych przez mniejszość niemiecką, jak np. Litwa czy Rumunia. Usprawnieniu procesu wysiedleń służyły obozy przesiedleńcze, w tym największy na Pomorzu obóz w Potulicach koło Nakła, który zaczął przyjmować więźniów w lutym 1941 r. W połowie marca 1941 r. wstrzymane zostały wysiedlenia do GG. Jednak w związku z ciągłym przyrostem Niemców bałtyckich i be-

sarabskich, w dalszym ciągu usuwano polskich mieszkańców z domów i gospodarstw. W ramach tzw. wysiedleń wewnętrznych ludzi kierowano do innych polskich rodzin.

Z czasem władze niemieckie zauważyły, że zgromadzenie się licznej grupy Polaków w jednym miejscu może być dla nich niebezpieczne i grozić np. konspirowaniem. Od początku września 1941 r. zmienił się charakter obozów przesiedleńczych. Odtąd przybrały one charakter stałych obozów pracy, podporządkowanych wychowawczemu obozowi pracy w Stutthofie, przyjmujących także więźniów karnych. Ten stan rzeczy trwał do stycznia 1942 r., kiedy zmienił się status obozu w Potulicach, który stał się obozem macierzystym w stosunku do toruńskiej „Szmalcówki” i Smukały. Nie zmienił się jego charakter i nadal funkcjonował jako obóz karny dla Polaków, którzy dopuścili się różnego typu przestępstw. W 1943 r. ustały wysiedlenia oraz zlikwidowano obozy w Toruniu i Smukale. W tej postaci obóz w Potulicach funkcjonował do wyzwolenia przez Armię Czerwoną 21 stycznia 1945 r. Przez obóz w całym okresie istnienia przewinęło się ok. 25 tys. osób.

Ze względu na strukturę organizacyjną, warunki życia i stosowane kary obóz w Potulicach nie różnił się od obozów koncentracyjnych.

Komando dla najmłodszych

Pisząc o obozie w Potulicach nie sposób nie zwrócić szczególnej



Nieletni stanowili od 1/3 do 1/2 ogólnego stanu uwięzionych

uwagi na cierpienie dzieci, jako licznej grupy więźniów. W całym okresie istnienia obozu nieletni stanowili od 1/3 do 1/2 ogólnego stanu uwięzionych. Według dotychczasowych ustaleń w obozie zmarło 1297 osób, w tym aż 767 dzieci. Pierwszym zmarłym w obozie więźniem był półtoraroczny Edward Smutek. Najmłodszy trafił do obozu wraz ze swoimi rodzicami, nadmienić należy, że często wyłącznie z matkami. Mimo to większość dzieci miała ograniczony kontakt z rodzicami, zazwyczaj wysyłanymi na wiele tygodni do pracy poza obozem. Poza tym dzieci przychodziły w obozie na świat.

Ze względu na panujący głód, matki często nie były w stanie ich wykarmić, a mleka w obozowej kuchni przeważnie brakowało. W związku z tym śmiertelność w tej grupie wiekowej była tak wysoka. Historycy ustalili też, że pewna grupa dziecięcych więźniów została zamordowana. Nie była to śmierć przypadkowa, np. w wyniku pobicia, ale celowo zadana, chociażby poprzez utopienie czy rozstrzelanie. Stosunek załogi obozu w stosunku do dzieci nie różnił się zupełnie od zachowań w odniesieniu do dorosłych więźniów.

Na początku 1942 r. zdecydowano o kierowaniu dzieci i młodzieży w wieku od 13 roku życia do pracy w obozie, jak i poza jego terenem. Nieletnich zatrudniano w przedsiębiorstwach obozowych, przede wszystkim w warsztatach futrzarskich. Zajmowali się szy-

wojskowej, ale także czyszczeniem cegieł do budowy nowego obozu, noszeniem desek i kamieni, rozładowywaniem ziemniaków, drewna i węgla na dworcu kolejowym w Bydgoszczy.

Także młodsze dzieci od 6 do 12 roku życia zmuszono do zbierania w lesie jagód, grzybów, pokrzyw lub chrustu. Najmłodsze dzieci wykorzystywano też do prac porządkowych w obozie. Stworzono dla nich osobne komando pracy, które nadzorował esesman. W grupie panowała surowa dyscyplina. Za jej naruszenia groziło bicie, kłęczenie na sosnowych szyszkach, zamykanie w karcercze.

Z Łodzi, Śląska i Smoleńska

Niezależnie od warunków pogodowych dzieci uczestniczyły w wielogodzinnych apelach, stojąc na zewnątrz w bieliźnie i bez butów. Spały na podłodze, na słomie i głodowały. Były poddawane eksperymentom pseudomedycznym lub często pobierano od nich krew. Dzieciom aplikowano zastrzyki w klatkę piersiową, po których puchły ręce, oczy, piersi, czy też bolała głowa, występowała gorączka. Jedną igłę wykorzystywano dla pięciu osób. Również te działania powodowały śmierć małych więźniów.

W okresie od 5 listopada 1943 r. do 8 września 1944 r. w Potulicach funkcjonował podobóz (Ostjugendbewahrlager Lebrechtsdorf) dla młodocianych więźniów, którymi były dzieci z rejonu Smoleńska i Witebska w Związku Radzieckim skierowane z obozu koncentrac-

cyjnego Auschwitz na kwarantannę po przebyciu tyfusu. Dzieci te przybyły do Potulic w liczbie 542 we wrześniu i październiku 1943 r. Ich rodzice walczyli w radzieckiej partyzantce. Tzw. Bandenkinder (dzieci band) były niedożywione i nie miały odpowiedniego ubrania. Chorowały i umierały na żółtaczkę, szkarlatynę i dyfteryt. W czerwcu 1944 r. większość z nich skierowano do pracy w pobliskich gospodarstwach rolnych. Za brak posłuszeństwa spotykały je surowe kary fizyczne i psychiczne. Grupa przebywała w Potulicach do sierpnia 1944 r. W tym czasie trzydziścioro dziecięcych z nich zmarło. W sierpniu 433 dzieci wywieziono do obozu zniemczenia w Łodzi. Nie wiadomo, co się stało z pozostałymi. Od połowy lipca do początku września 1944 r. oprócz dzieci radzieckich zaczęto zwalniać także dzieci polskie. Łącznie zwolniono ich w tym okresie 2385, głównie z obawy przed wybuchem epidemii.

Po ich wyjeździe do obozu trafiły dzieci przysłane z Łodzi, Katowic i aresztów gestapo w Gdańsku i Bydgoszczy. Dzieci nadzorował kapo Wojciech Jopek, który z powodu swoich sadystycznych zachowań został w listopadzie 1946 r. skazany przez Specjalny Sąd Kamy w Toruniu na karę śmierci.

W Potulicach przebywała również grupa dzieci z Człodzi, Trzebinii i Sosnowca. Łącznie liczyła ona prawdopodobnie 139 osób. O losach przysyłanych miał decydować Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Przeprowadzano na nich szczegółowe badania i pomiary zmierzające do ustalenia ich nordyckiego pochodzenia. Niektóre uczono języka niemieckiego.

W chwili wyzwolenia, w obozie macierzystym przebywało 660 dzieci. Przebywały w Potulicach razem z obłożnie chorymi i kobietami. Koniec wojny oznaczał koniec kilkuletniej gehenny życia w strachu przed ciągłym niebezpieczeństwem ze strony obozowych strażników i kapo, w obawie przed utratą najbliższych, ale także doświadczeniem śmierci członków rodziny.

WYWÓZKA DZIECI Z ZAGŁĘBIA DĄBROWSKIEGO DO OBOZU W POTULICACH

Tragiczne losy „Dzieci Potulic” stanowią w Zagłębiu Dąbrowskim ważny element pamięci o dziejach tego regionu i jego mieszkańców podczas II wojny światowej. Szczególnie kultywowana jest ona w Czeladzi – siedziba tamtejszego Muzeum „Saturn” mieści się w budynku sierocińca, w którym dzieci przebywały po przywiezieniu z obozu. W mieście tym co roku – 19 lutego – odbywają się uroczystości upamiętniające powrót najmłodszych ofiar akcji „Oderberg” z Potulic.

MIROSŁAW WĘCKI
ODDZIAŁ IPN
W KATOWICACH

Wśród terenów II Rzeczypospolitej, które jesienią 1939 r. zostały zaanektowane przez III Rzeszę znalazł się obszar województwa śląskiego, który stał się rdzeniem utworzonej wówczas rejencji katowickiej (w 1941 r. weszła ona w skład prowincji górnośląskiej). Do tej jednostki administracyjnej włączono także część innych przedwojennych województw: kieleckiego (Zagłębie Dąbrowskie – miasto Sosnowiec i powiat będziński) i krakowskiego (powiaty chrzanowski oraz żywiecki) – w żargonie nazistowskim obszar ten był nazywany „pasem wschodnim” (Oststreifen). W optyce niemieckich władz okupacyjnych większość mieszkańców byłego województwa śląskiego miała nadawać się „do ponownego zniemczenia” – tylko uznane za Polaków (około 10% populacji) miały zostać deportowane do Generalnego Gubernatorstwa. Inną przyszłość przewidywano dla „pasa wschodniego” – cała ludność polska (około 1 mln.) miała zostać wysiedlona do GG, z kolei Żydzi (około 100 tys.) zostali wymordowani w latach 1942-1943. Deportacje Polaków odłożono na czas powojenny – zwłaszcza mieszkańcy Zagłębia Dąbrowskiego byli okupantom potrzebni do pracy w tamtejszym przemyśle. Do większej akcji deportacyjnej doszło jedynie w 1940 r. na Żywiecczyźnie, skąd wysiedlono do GG około 20 tys. Polaków. Później w reencji katowickiej prowadzono tylko wysiedlenia „wewnętrzne”, które objęły razem około 81 tys. ludzi. Wyrzucone ze swoich domów polskie rodziny kierowano m.in. do utworzonych od wiosny 1941 tzw. obozów dla Polaków (Polenlager). Na terenie prowincji górnośląskiej powstały co najmniej 22 ośrodki tego typu ulokowane w halach fabrycznych,

klasztorach, czy szkołach itp. Według niepełnych, zapewne zaniżonych, danych trafiło do nich około 10 tys. ludzi. Warunki bytowania osadzonych były bardzo trudne, wpisywały się w nie głód, brutalne traktowanie i niewolnicza praca. Szczególny charakter miał obóz ulokowany w Pogrzebieniu koło Raciborza – kierowano do niego dzieci osób aresztowanych za działalność w ruchu oporu.

Akcja „Oderberg”

W prowincji górnośląskiej polski ruch oporu najsilniej rozwinął się właśnie w „pasie wschodnim”. Przemysłowy charakter oraz tradycje historyczne „czerwonego” Zagłębia Dąbrowskiego sprawiły, że szczególnie duże wpływy na tym terenie miały organizacje lewicowe, związane zwłaszcza z PPS WRN. Władze nazistowskie bezwzględnie zwalczały wszelkie objawy polskiego oporu niezależnie od jego barw politycznych – niestety z licznymi sukcesami. W latach 1939-1945 na tym obszarze aresztowano tysiące Polaków – duża część tych ludzi została zamordowana. Jedną z największych fal aresztowań w Zagłębiu Dąbrowskim i powiecie chrzanowskim miała miejsce w nocy 11/12 sierpnia 1943 r. W ramach tzw. akcji „Oderberg”, precyzyjnie wymierzonej w polskie podziemie lewicowe (zarówno socjalistyczne, jak i stosunkowo nieliczne, komunistyczne), zatrzymano około 750 ludzi. Od poprzednich operacji tego typu różniła się ona tym, że aresztowano całe rodziny, które skierowano do więzienia policyjnego w Mysłowicach. Mężczyzn oddzielono od najbliższych już w momencie aresztowania, z kolei w Mysłowicach odebrano matkom dzieci – również te najmłodsze. Wkrótce dorosłych (około 400 osób) wywieziono do KL Auschwitz, gdzie w najbliższych miesiącach większość z nich została zamordowana.



Grupa „Dzieci Potulic” przed czeladzkim sierocińcem, lata 1945-1948

Obozowa tułaczka

Inny był los co najmniej 213 aresztowanych dzieci. Po oddzieleniu od matek w Mysłowicach, skierowano je do obozu w Pogrzebieniu. Pod koniec września 1943 r. większość z nich podzielono na grupy i rozwieziono do innych Polenlagrów położonych w południowej części prowincji górnośląskiej: do Benešova (Markt Benešchau), Bohumina (Oderberg), Kietrza (Katscher), Gorzyc (Gross Gorschütz), Gorzyczek (Klein Gorschütz), Lysków (Lissek) oraz Żor (Sohrau). Podobnie jak dorośli więźniowie, dzieci zaznały w nich głodu, chorób i brutalnego traktowania ze strony strażników nazywających je „dziećmi bandytów”. Znałe są przypadki zakazania małych więźniów za próby ucieczki. Nic dziwnego, że część dzieci osadzonych w Polenlagrach zmarło. W ośrodkach tych prowadzono też na nich badania – dzieci uznane za „rasowo czyste” wywożono do Niemiec. Późniejszych losów większości z nich nie udało się ustalić. Pewną ulgą w ogólnej mizerii bytowania była pomoc ze strony dorosłych

współwięźniów oraz kontakty korespondencyjne z rodzinami. Okazjonalnie zdarzały się też osobiste odwiedziny umożliwiające przez stosunkowo niewielką odległość obozów od Zagłębia Dąbrowskiego. Z okazji tej skorzystał m.in. wywodzący się z Czeladzi Jan Polak, który w sierpniu 1943 r. zdołał ukryć się w miejscowej kopalni i w ten sposób uchronić przed aresztowaniem. Dzięki temu mógł potem, w przebraniu, kilkukrotnie odwiedzić swoje córki Janinę i Czesławę w obozach w Pogrzebieniu, Gorzycach i Bohuminie.

Wkrótce miało się to jednak zmienić. W połowie 1944 r. część dzieci przetransportowano do obozu w Żorach, a później do Bohumina. Stamtąd na początku sierpnia 1944 r. 139 z nich wywieziono do obozu przesiedleńczego w Potulicach koło Bydgoszczy. Transporty z górnośląskich Polenlagrów trafiły do Potulic 8 i 11 sierpnia 1944 r. Nie wszystkie dzieci należały do grupy aresztowanej podczas akcji „Oderberg” – część pochodziła z innych części prowincji górnośląskiej. Egzystencję dzieci w Potulicach tak wspominała pochodząca

z Czeladzi Janina Zachariasz (córka wspomnianego wcześniej Jana Polaka): „Ubrano nas w drewniak i ubrania obozowe. Warunki bytowania w tym obozie nie różniły się od warunków wistniejących obozach koncentracyjnych. Mieszkaliśmy w bardzo prymitywnych, zimnych barakach, brakowało urządzeń sanitarnych, niskokaloryczne, wręcz głodowe wyżywienie, a do tego codzienny reżim hitlerowski, w tym zastraszające apele. Starsze dzieci pracowały w ogrodzie i przy kopaniu rowów przeciwnicznych, a nawet wysyłani byliśmy do roboty na polu. Praca w ogrodzie dawała nam możliwość dożywiania się jarzynami, które głęboko ukryte przenosiliśmy do obozu rodzeństwa i młodszym dzieciom. Było to bardzo ryzykowne, bowiem za najmniejszą kradzież i przemyt bito pejcem, karano głodówką lub zamykano w bunkrze”.

Szczególnie traumatyzujące było niemal całkowite już zerwanie kontaktów z rodzinami (pozostała tylko korespondencja). Również w Potulicach część dzieci zmarła, inne

zostały, po badaniach rasowych, wywiezione do Niemiec. Pozostałe doczekały ewakuacji obozu styczniu 1945 r. W przeciwnieństwie do dorosłych więźniów, dzieci nie zostały objęte ewakuacją. Przez dwa dni przebywały w nim bez opieki – w obozowych magazynach znalazły jednak trochę żywności oraz niemiecką odzież wojskową. Tak doczekały zajęcia obozu przez wojska sowieckie.

Gorzki powrót

27 stycznia 1945 r. Armia Czerwona wyparła Niemców także z Zagłębia Dąbrowskiego. Już 10 lutego kilku mieszkańców Czeladzi (Władysław Badzior, Wiktor Parka, Jan Polak i Teofil Kowalik), miasta w sposób szczególnie bolesny dotkniętego akcją „Oderberg”, wyruszyło do Potulic z zamiarem sprowadzenia dzieci. Koniecznego pełnomocnictwa władz polskich udzielił im Jerzy Ziętek pełniący już w Katowicach obowiązki wojewody śląskiego. Do Potulic dotarli po kilku dniach. Wśród małych mieszkańców obozu znaleźli 54 dzieci pochodzące z Czeladzi. Transport, zorganizowany przy pomocy władz polskich i sowieckich, dotarł do miasta 19 lutego 1945 r. Na miejscu powracających powitał entuzjastycznie kilkutyśięcny tłum. Wkrótce zaczęli się zgłaszać bliźni lub dalsi krewni. Te dzieci, po które nikt się nie zgłosił, zostały umieszczone w miejscowym sierocińcu. W Potulicach wciąż przebywały jednak setki dzieci, w tym wiele z Zagłębia Dąbrowskiego i Górnego Śląska – ich nazwiska zostały opublikowane na łamach lokalnej prasy. W tej sytuacji kilku czeladzian (m.in. uczestnik pierwszego wyjazdu Jan Polak) ponownie udało się, na polecenie Ziętka, do potulickiego obozu, skąd przywieźli pociągiem kolejne 103 dzieci. Część z nich, nie pochodzących z Zagłębia, wysadzono w Kozłuskach, Częstochowie i Zawierciu. Pozostałe zostały przekazane zarządowi PCK w Będzinie.

MATEUSZ KUBICKI
ODDZIAŁ IPN W GDAŃSKU
UNIwersytet Gdański

Po objęciu w 1933 r. w Niemczech władzy przez narodowych socjalistów rozpoczęto przygotowania do wdrożenia prawa, które umożliwiało zaostrenie kursu względem osób chorych. Jedną z najbardziej drakońskich była ustawa wprowadzona w 1934 r. o przymusowej sterylizacji osób z zaburzeniami. Przyjęte tam rozwiązania pozwalały, aby chorzy byli poddawani zabiegowi wbrew ich woli. Często był on celowo wykonywany z błędem lekarskim, co przyczyniało się do śmierci pacjenta. Do dalszego zaostrenia prawa doszło w 1935 r., kiedy dopuszczono całkowitą izolację osób z zaburzeniami. Ustawy te miały doprowadzić do eliminacji z niemieckiego społeczeństwa „życia niewartego życia”. Ostatnim elementem było rozpoczęcie już po wybuchu wojny akcji T-4, która objęła wszystkie znajdujące się wówczas na terenie Niemiec placówki związane z leczeniem osób z zaburzeniami.

W przededniu niemieckiej agresji na Polskę na Pomorzu Gdańskim działało kilka miejsc odpowiedzialnych za leczenie osób z zaburzeniami psychicznymi. Wówczas cieszyły się one renomą, a wdrażane tam metody terapii wpasowywały się w najnowsze standardy. Wśród dużych placówek należy wskazać Krajowe Zakłady Psychiatryczne w Świeciu nad Wisłą i Kocborowie nieopodal Starogardu Gdańskiego. Pierwszy z nich uruchomiono w 1829 r. Został on rozbudowany w połowie XIX w. W momencie ataku Niemiec na Polskę znajdowało się w nim około 1,7 tys. pacjentów, z czego część przebywała na leczeniu pozaszpitalnym, co dotyczyło zwłaszcza lżej chorych. Drugi z dużych szpitali w Kocborowie miał bardzo podobne warunki. Umieszczono w nim maksymalnie 1350 pacjentów. Dodatkowo podlegały mu dwa ośrodki zamiejscowe w Chojnicach (200 chorych) oraz szpital dla chorych dzieci w Gniewie (maksymalnie 60 dzieci).

Tajna narada w Sopocie

W połowie września 1939 r. w „Grand Hotelu” w Sopocie miała miejsce tajna narada, w której obok kanclerza III Rzeszy Adolfa Hitlera wzięli udział dr Karl Brandt – osobisty lekarz Hitlera, Philipp Bouhler – szef Kancelarii Rzeszy oraz dr Leonardo Conti – naczelny lekarz III Rzeszy. Wówczas ustalono jak będzie przebiegać akcja zabijania osób chorych. Efektem narady był tajny dekret o eutanazji (Eu-

NIEMIECKA AKCJA T-4 NA POMORZU GDAŃSKIM A ZABÓJSTWA DZIECI W LATACH 1939-1945

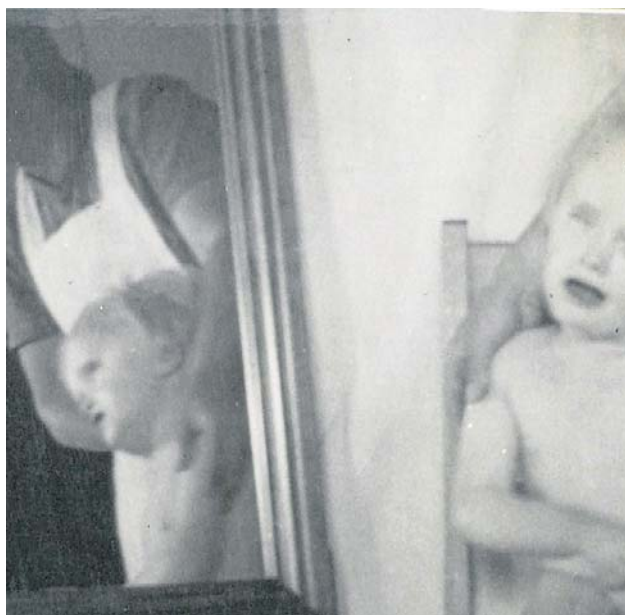
II wojna światowa przyniosła diametralne zmiany w traktowaniu przez Niemców osób z zaburzeniami psychicznymi. Niemcy chcąc stworzyć „idealne społeczeństwo”, postanowili je z niego usunąć.

thanasie Erlass), podpisany przez Adolfa Hitlera pod koniec października 1939 r. W celu zachowania pozorów został on antydatowany na 1 września 1939 r., co było zgodne z datą rozpoczęcia ataku na Polskę. Dopuszczał on „wyświadczenie łaski śmierci” wobec osób nieuleczalnie chorych i upośledzonych. Aby nie zdrażniać niemieckiej opinii publicznej działania te objęto całkowitą tajemnicą, a sama akcja otrzymała kryptonim T-4. Wywodził się on od adresu głównej siedziby centrali Zakładów Opiekuńczo-Lecznicznych w Berlinie przy ulicy Tiergartenstrasse 4 odpowiedzialnej za jej przeprowadzenie.

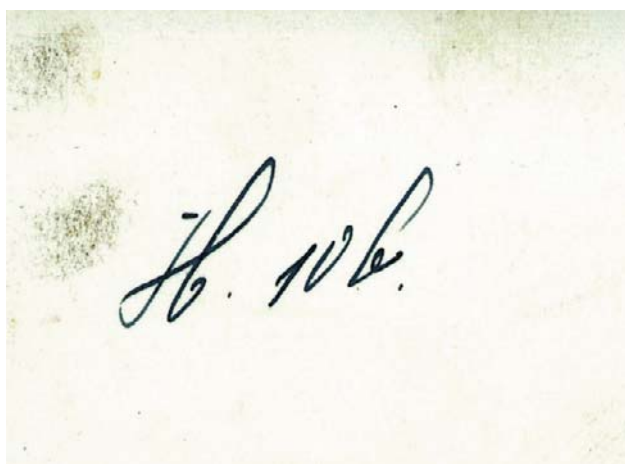
Działania wojenne na Pomorzu Gdańskim zakończyły się bardzo szybko. Wówczas do placówek w Kocborowie i Świeciu przybyli SS-mani rekrutujący się spośród oddziału szturmowo-wartowniczego Kurta Eimanna (SS-Wachsturmbann Eimann). Każdy z oddziałów liczył od 20 do 40 osób. Ich zadaniem było zabezpieczenie szpitali oraz przygotowanie ich do rozpoczęcia akcji T-4. Następnie do każdej z placówek przybyła specjalna komisja, na czele której stał odpowiedzialny w okresie przedwojennym za medycynę w Wolnym Mieście Gdańsku prof. dr Erich Grossmann. Składała się ona z lekarzy psychiatrów oraz tych zajmujących się szeroko rozumianą eugeniką. Głównym zadaniem komisji było podzielenie pacjentów na grupy, gdzie decydującym czynnikiem była ich zdolność do wykonywania pracy. Spośród chorych przy życiu planowano pozostawić maksymalnie 20 proc. osób.

Zbrodnie w lesie

Po dokonaniu podziału, do akcji weszli znajdujący się w szpitalach SS-mani. W Świeciu



Zdjęcie małej pacjentki pawilonu Xb wykonane przez Niemców na potrzeby akcji T-4



Rewers zdjęcia wykonanego przez niemiecki personel szpitala z oznaczeniem pawilonu, gdzie zabijano małych pacjentów

nad Wisłą wywózki pacjentów do lasów nieopodal miejscowości Mniszek-Grupa rozpoczęto około połowy września 1939 r. W zbrodni obok SS-manów brali również udział przedstawiciele Selbstschutzu („niemieckiej samoobrony”) najbardziej zbrodniczej formacji działającej na okupowanym Pomorzu

Gdańskim. W lasach nieopodal Mniszka-Grupy pacjentów zabijano strzałem w tył głowy lub poprzez roztrzaskanie czaszki tępym narzędziem. W ten sposób zamordowano maksymalnie 800 osób. Szpital psychiatryczny w Kocborowie rozpoczęto „opróżniać” w ten sam sposób od 22 września

1939 r. Pacjentów wywożono do znajdującego 7 kilometrów od Starogardu Gdańskiego - Lasu Szpegawskiego. W zbrodni brali udział wyłącznie SS-mani z oddziału Eimanna. Dowódcą komanda mianowano SS-Obersturmführera Karla Braunschweiga. W masowych egzekucjach trwających do drugiej połowy stycznia 1940 r. zamordowano 1689 chorych, w tym również sporą liczbę dzieci.

Jeszcze podczas trwania zbrodni rozpoczęto relokowanie pacjentów. Działanie to miało przyspieszyć realizację założeń akcji T-4. W ten sposób potraktowano maksymalnie 60 chorych dzieci znajdujących się w ośrodku w Gniewie. Inicjatorem ich wywiezienia był komisarz burmistrz miejscowości volksdeutsch Horst Walpuski vel Walldorf. Do Kocborowa przewieziono je samochodem ciężarowym na przełomie października i listopada 1939 r. Po umieszczeniu w szpitalu zostały one następnie wymordowane w kilku masowych egzekucjach. Do Kocborowa 16 czerwca 1940 r. przywieziono też chorych z placówki w Prabutach, a sam szpital został przekształcony w lazaret i koszary dla Wehrmachtu. Również w tym transporcie znajdowały się chore dzieci. Podobnie potraktowano pacjentów, którzy pozostali przy życiu w szpitalu w Świeciu nad Wisłą. Niemcy wykorzystując specjalny pociąg przewieźli chorych do Kocborowa 3 listopada 1939 r. Większość z nich została zabita w masowych egzekucjach w Lesie Szpegawskim. Dla zabudowań szpitalnych w Świeciu Niemcy znaleźli inne zastosowanie. Zostały one przekształcone w dom starców dla Niemców bałtyckich sprowadzonych na te tereny w ramach akcji „Heim ins Reich”.

Zastrzyki śmierci

Masowe zabójstwa pacjentów w lasach zakończyły się w styczniu 1940 r. Nie oznaczało to jednak końca akcji T-4, która trwała nadal. Niemcy do tego celu wykorzystywali zabudowania szpitala w Kocborowie. W szczególnie okrutny sposób potraktowali przebywające tam dzieci. Umieszczono je w dwóch pawilonach oznaczonych jako Xb (dla dziewcząt) i XIb (dla chłopców). Szefową pierwszego była Klara Rückert, a drugim natomiast kierował Erich Konrad Hannemann.

Przebywające w pawilonach Xb i XIb dzieci prawdopodobnie poddawano eksperymentom medycznym tworząc obszerną historię choroby. Równolegle rozpoczęto względem nich stosować założenia akcji T-4. Najpierw niemiecki personel rozpoczął zmniejszanie racji żywnościowych oraz zaniechał podawania codziennych dawek leków. Dodatkowo ograniczano ogrzewanie pomieszczeń, co tłumaczono „oszczędnością”. Wówczas w pawilonach Xb i XIb zaczęły szerzyć się choroby, gdzie do najpowszechniejszych należy zaliczyć zapalenie płuc, gruźlicę czy tyfus. Inną metodą zabijania dzieci przez Niemców było podawanie im zastrzyków z wysokostężonego luminalu, morfiny, skopolaminy, barbituranów, veronalu lub panhormonu. Słabsze dzieci, które otrzymywały iniekcje dożylnie tych substancji umierały bardzo szybko. Silniejszym, niemiecki personel potrafił podawać środki miesiącami. W obu przypadkach ich śmierci towarzyszyły męczarnie. W przypadku stwierdzenia zgonu historię choroby fałszowano poprzez wskazanie, że dany mały pacjent został relokowany do innego szpitala na terenie „starej Rzeszy”. Często podawano też fikcyjną przyczynę zgonu, gdzie najczęściej wpisywano zapalenie mięśnia sercowego. Jedyną adnotacją świadczącą o zabiciu w wyniku akcji T-4 było narysowanie przez kierownika oddziału czerwonego krzyżyka na rewersie zdjęcia danego pacjenta.

Pomimo formalnego przezwania akcji T-4, które miało miejsce w 1941 r., zabójstwa dzieci trwały nadal. Szacuje się, że w kocborowskim szpitalu psychiatrycznym w latach 1940-1944 Niemcy pozbawili w ten sposób życia, co najmniej 200 dzieci. Sami sprawcy obwinając się wzajemnie w powojennych procesach wskazywali, że ci, którzy byli odpowiedzialni za zabójstwa dzieci otrzymywali zwiększone pobory lub awanse na wyższe stanowiska, co również wiązało się z przywilejami i ze zwiększonym uposażeniem.

MŁODOCIANI POWSTAŃCY WARSZAWSCY W NIEWOLI NIEMIECKIEJ

Po upadku powstania warszawskiego do niewoli dostało się ok. 17 tys. powstańców, a wśród nich ok. 1100 chłopców i dziewcząt w wieku od 10 do 18 lat. Najmłodszym jeńcem wojennym z powstania warszawskiego był 10-letni Jerzy Szulc ps. „Tygrys”.

DR BARTOSZ JANCZAK
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Przez 63 dni w walkach o Warszawę w 1944 r. wzięło udział ok. 50 tys. powstańców. Wśród nich byli mężczyźni, kobiety, a także młodzież oraz dzieci. Wychowani w duchu patriotycznym nieletni żołnierze dzielnie bili się o wyzwolenie okupowanej stolicy. Wielu zginęło na warszawskich ulicach, a ponad tysiąc dostało się do niewoli niemieckiej. Byli najmłodszymi jeńcami wojennymi w historii.

Od wybuchu 1 sierpnia 1944 r. powstania warszawskiego młodociani żołnierze wykonywali szereg zadań. Pełnili służbę m.in. jako łącznicy nosząc rozkazy i meldunki, przewodnicy po kanałach prowadząc również ludność cywilną, czy po prostu z bronią w ręku zabijali niemieckich żołnierzy. Za swoją odwagę, oddanie kilku z nich zostało awansowanych na wyższe stopnie wojskowe, czy odznaczonych np. krzyżami Virtuti Militari.

Koniec powstania warszawskiego 2 października 1944 r. dla nieletnich powstańców był, podobnie jak dla pozostałych walczących czasem bardzo trudnym. Ich ogromne dziecięce marzenie o wyzwoleniu Warszawy nie zostało spełnione. Jednak większość młodocianych jako pełnoprawni żołnierze, którzy podczas walk zasłynęli z nieprawdopodobnej odwagi, postanowiła, choć nie musiała, znosić trudy żołnierskiej niedoli, a mianowicie pójść wraz ze swoimi towarzyszami broni do niewoli niemieckiej.

Droga do obozów jenieckich

Na mocy polsko-niemieckich ustaleń powstańców warszawskich traktowano jako żołnierzy, którym przysługiwały prawa jenieckie zawarte w międzynarodowych umowach. Do niewoli dostało się ok. 17 tys. powstańców, a wśród nich ok. 1100 chłopców i dziewcząt w wieku od 10 do 18 lat. Najmłodszym jeńcem wojennym z powstania warszawskiego był 10-letni Jerzy Szulc ps. „Tygrys”.



Młodociani powstańcy warszawscy podczas nauki strzelania

Po zaprzestaniu walk na początku października 1944 r. większość powstańców warszawskich skierowano do obozu przejściowego w Ożarowie, a stamtąd transportami kolejowymi trafiali do oflagów (obozów dla oficerów) oraz stalagów (dla podoficerów i szeregowych) zlokalizowanych na terenie III Rzeszy.

Najwięcej powstańców warszawskich, bo prawie 6 tys. żołnierzy trafiło do Stalagu 344 Lamsdorf (obecnie Łambinowice na Śląsku Opolskim), w tym prawie 600 młodocianych. Podoficerów i szeregowych mężczyzn, kobiet, a także młodocianych umieszczono ponadto w stalagach: IV B Mühlberg (i podległego mu lazaretu Zeithain), XI B Sandbostel, XI A Altengrabow, XI B Fallingbostel. Oficerów przetrzymywano m.in. w oflagach II C Woldenberg czy VII A Murnau.

Warunki w niewoli niemieckiej

Młodociani powstańcy w obozach jenieckich byli traktowani przez Niemców na równi z dorosłymi. Już sama wielodniowa podróż w przepełnionych wagonach kolejowych do miejsc odosobnienia była dla nich bardzo wymagająca. Pozbawieni wody, żywności,

bez snu docierali do obozów wyczerpani, a za drutami nie otrzymali należytej opieki.

Należy pamiętać, że powstańcy trafiali do obozów jenieckich jesienią, kiedy występowały zimne, deszczowe dni, a żołnierze nie posiadali ciepłej odzieży. Nie byli zaopatrzeni także w najpotrzebniejsze przedmioty codziennego użytku, a mianowicie w łyżki oraz menażki, aby móc spożywać niewielkie i słabej jakości posiłki. Brak odpowiedniej żywności powodował występowanie u nich szeregu chorób, jak np. biegunki, duru brzusznego i plamistego, anemii czy zapalenia płuc.

Jak już wspomniano najwięcej nieletnich jeńców wojennych osadzono w Stalagu 344 Lamsdorf. Powstańcy warszawscy zostali umieszczeni w tzw. Russenlagrze (sektorze dla jeńców sowieckich). Warunki w obozie były bardzo trudne. W stalagu brakowało żywności, lekarstw, środków czystości, występowały problemy z dostępem do bieżącej wody. Młodociani powstańcy głodowali, chorowali, a przez cały okres przetrzymywania towarzyszyli im plaskawy. Osadzali się na suficie baraków i podczas snu spadały na śpiących jeńców. Jak wspominali powstańcy rano



Powstańcy opuszczający Warszawę po kapitulacji

byli tak pogryzieni, że wyglądali jak Indianie.

W pozostałych obozach jenieckich warunki były podobne. Młodociani jeńcy z powodu fatalnej sytuacji podejmowali ucieczki. Ze stalagu Lamsdorf próbowali uciec 17-letni starsi strzelcy Janusz Sznytko „Bogdaniec”, Jan Lewandowski „Aleksander” i Ireneusz Wiśniewski „Irek”, ale im się nie udało. Pierwszy z nich zginął zastrzelony przez niemieckiego żołnierza, a dwaj pozostali zostali ranni.

Młodocianych powstańców warszawskich władze niemieckie wykorzystywały do pracy w obozach, w których ich przetrzymywano, bądź np. w niemieckich gospodarstwach rolnych. Nieletni wbrew międzynarodowemu prawu jenieckiemu pracowali także w zakładach brojeniowych. Niżsi wzrostem zajmowali się składaniem niemieckich samolotów wojskowych Messerschmitt. Podczas montażu kadłubów specjalnie źle nitowali, wskutek czego samoloty miały wady fabryczne, co mogło doprowadzić do ich rozpadu w powietrzu. Poprzez sabotowanie wykonywanej pracy młodociani jeńcy stawiali opór, walczyli z Niemcami.

Nieletni powstańcy brali ponadto udział w odgruzowywaniu niemieckich miast zniszczonych w wyniku nalotów alianckich. Pomagali ludności cywilnej państwa, które jeszcze jakiś czas temu atakowało z powietrza ich domy. Oglądali cierpienie ludności cywilnej, które sami doskonale znali.

Losy powojenne

Niewola niemiecka młodocianych powstańców warszawskich kończyła się wraz z zajmowaniem niemieckich obozów jenieckich przez wojska alianckie. Po wyzwoleniu nieletni jeńcy wojenni, podobnie jak pozostali przetrzymywani, musieli zdecydować o swoich dalszych losach.

Większość młodocianych powstańców warszawskich wróciła do powojennej Polski. Po powrocie do kraju i odnalezieniu swoich rodzin bardzo ważną dla nich kwestią było podjęcie przerwanej z powodu wybuchu wojny edukacji. Po zdaniu matury dostawali się często nie bez przeszkód na studia. Niestety przez władze komunistyczne w Polsce nieletni powstańcy warszawscy już w dorosłym życiu byli niejednokrotnie szykanowani, prześladowani, a nawet osadzani w więzieniach.

Część nieletnich powstańców warszawskich nie zdecydowała się na powrót do ojczyzny i wybrała życie emigracyjne. Różne były powody tych decyzji. Niektórzy nie chcieli wracać do Polski z powodu złych wspomnień, inni stracili rodziny w kraju i otrzymali opiekę u swoich bliskich na emigracji. W najgorszej sytuacji byli sieroty, które po zakończeniu II wojny światowej uzyskiwały pełnoletność. W samotności, daleko od domu musieli nie bez przeszkód budować swoją dalszą przyszłość.

Niektórzy młodociani powstańcy np. po wyzwoleniu przez wojska amerykańskie rozpoczęli służbę w organizowanych w Niemczech przez władze USA kompaniach wartowniczych. Inni wstępowali w szeregi Polskich Sił Zbrojnych, m.in. do 2. Korpusu Polskiego we Włoszech i odsyłani byli do szkół junaków i młodszych ochotniczek, w ramach których mogli zdobywać wykształcenie. Po zdemobilizowaniu osiedlali się w różnych częściach świata.

Dla pozostających na emigracji ogromna tęsknota za krajem, za ukochaną Warszawą towarzyszyła im przez całe życie. Mimo tysięcy kilometrów od rodzinnych stron nie zapominali o jesiennych wydarzeniach z 1944 r. Starali się poza granicami kraju kultywować pamięć o powstaniu warszawskim, wspominać swoich bliskich, przyjaciół, znajomych, którzy w wyniku 63 dni walk stracili życie, wolność, domy, ojczyznę.

Młodociani powstańcy warszawscy stanowili najmłodszą grupą jeniecką w historii wojen. Byli jedyni, niepowtarzalni, wykazywali się ogromną odwagą, oddaniem, obowiązkowością, odpowiedzialnością, patriotyzmem, a przecież w momencie największej próby nie osiągnęli pełnoletności. Dla nich dzieciństwo przypadło na okrutne lata wojenne. Musieli oglądać cierpienie, głód, śmierć, tracili rodziny, przyjaciół i domy. Wraz z końcem II wojny światowej nie odzyskali swoich lat młodości, a przyszło im się zmierzyć z niełatwą powojenną rzeczywistością.